MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 14. WARSZAWA, 6 KWIETNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIŻEJ POZIOMU POLITYKI

GDY powstawał pierwszy rząd „silnej ręki” pod przewodnictwem p. Kazimierza Świtalskiego, towarzyszyła mu legenda o „faszyzmie pułkownikowskim”, o „oktrojowaniu“, łudzono się, albo też udawano umiejętnie, że się łudzono, iż wyzwoleni z pęt przestarzałej doktryny „piłsudczycy”, na gruzach walącego się „demo-liberalizmu” zaprowadzą w Polsce nowy, lepszy ład i nowe prawo. Kiedy dziś na czele rządu stanął znów „mocny człowiek“, pułkownik Walery Sławek, nikt już żadnych „przełomów faszystowskich“ nie oczekuje, nikt ich nawet nie chce na serjo zapowiadać: rzeczywiste, poważne dążenia obozu „sanacyjnego” streściły się w praktyce w jednym, naczelnym ideale — „luzów” budżetowych...

W społeczeństwie polskiem ustalić się też wreszcie musi świadomość, że cechą wyróżniającą obóz „przewrotu majowego“ nie jest bynajmniej jakiś odrębny program, dotyczący zagadnienia przebudowy ustroju Państwa, nie jest wogóle jakikolwiek odrębny program w zakresie polityki. Bezpartyjny Blok jest istotnie całkowicie bezpartyjny w tem znaczeniu, że w łonie swojem grupuje i konserwatystów i radykałów, demokratów i antydemokratów, zwolenników liberalizmu gospodarczego i entuzjastów etatyzmu. Rozmaitość idej politycznych wśród „piłsudczyków”, nawet zupełna sprzeczność programów, uważana jest przez nich za rzecz całkowicie dopuszczalną i zrozumiałą. Wszyscy natomiast obowiązani są do bezwzględnej solidarności w obronie np. poglądu, iż... rozmowy ministra z osobnikami, proszącymi o „pozwolenie“ zamordowania jednego z posłów, są zjawiskiem najzupełniej normalnem i właściwem i że powinny wywoływać zachwyt, nie zaś zgorszenie.

Trzeba jasno zdać sobie sprawę z faktu, jak dalece nieprzemyślane, nie przetrawione dostatecznie przez samych autorów okazywały się wszelkie próby formułowania „ideologji“ obozu „sanacyjnego”, czy to w zakresie programu naprawy Konstytucji (projekt Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem), czy np. w dziedzinie wychowania narodowego (mowy p. ministra oświaty, dr. Czerwińskiego). Jasne było, że nie o to toczy się walka, że nie w tem przecież zawiera się treść przeciwieństwa poglądów. Dyskusje istotnie na serjo, w których w sposób najbardziej jaskrawy zaznaczyły się różnice stanowisk pomiędzy opinją narodową a opinją obozu „sanacyjnego“, dotyczyły np. zagadnienia, czy zaginięcie gen. Zagórskiego było zdarzeniem niezmiernie ważnem, czy też... drobiazgiem bez znaczenia... Dyskusja na temat praworządności nie zrodziła się bynajmniej z faktu, że obóz „przewrotu majowego“ podał w wątpliwość słuszność podstaw moralnych dzisiejszego ustroju państwowego i przeciwstawił im zasady odmienne, na których nowy porządek prawny powinienby być oparty: obracała się ona około pytania, czy wogóle w Państwie obowiązywać musi prawo, czy wogóle prawo należy szanować... Dyskusja na temat kontroli nad wydatkami państwowemi nie powstała z racji, iż obóz „sanacyjny“ wypowiedział się przeciwko obowią-

zującemu obecnie systemowi tej kontroli, przeciwstawiając mu inny, lepiej zabezpieczający prawidłowość gospodarki groszem publicznym, skuteczniej chroniący od nadużyć: chodziło o to, czy wogóle żądanie złożenia rachunku od ludzi, posiadających dostęp do kas publicznych, powinno być w praktyce uwzględniane...

Tak ujęte przeciwieństwa sięgają bez porównania głębiej, aniżeli normalny poziom, na którym wyznaczać można różnice i sprzeczności poglądów w zakresie polityki. Twierdzenie, iż są to kwestje zapatrywań politycznych, byłoby równie fałszywe, jak przypuszczenie, że główną rzeczą, odróżniającą posła prof. Rybarskiego od posła Dobrzańskiego jest... odmienność partyjnych programów.

Zwartość oraz siła narodu zależą w znacznym stopniu od ilości prawd, uznanych w nim powszechnie za obowiązujące, niewątpliwe, od jednolitości typu moralnego jego członków. Ustrój parlamentarny może bez groźniejszych katastrof funkcjonować jedynie w takich narodach, w których istnieją pewne ogólnie przyjęte dogmaty polityki państwowej, wspólne partji rządzącej i opozycji, i niezależnie od zmian gabinetów rządowych, konsekwentnie w życie wprowadzane. Gdy rozbieżności dążeń politycznych są zbyt wielkie, powstaje kryzys ustroju. Kiedy jednakże różnice sięgają niżej poziomu polityki, kiedy dotyczą podstawowych pojęć moralnych: uczciwości, honoru, prawa, już nie ustrój państwowy zostaje wtedy zagrożony, ale samo istnienie narodu.

Wówczas naród musi zdobyć się na największy wysiłek, aby ten stan rzeczy przełamać.

JAN REMBIELIŃSKI

REFORMA POLITYCZNA W EUROPIE

(NOWA KSIĄŻKA E. CORRADINIEGO)

POD tym tytułem *„La Riforma Politica in Europa“* wyszło w r. 1929 dziełko znanego włoskiego pisarza politycznego, Henryka Corradini'ego. Pragniemy się niem zająć, nie aby dać zupełne sprawozdanie, lecz dla omówienia kilku zasadniczych jego myśli zawsze aktualnych, a zwłaszcza w chwili, kiedy się dużo mówi w Polsce o reformie ustroju. Książka ta nie jest rozprawą o reformie konstytucji ze stanowiska prawnego, naukowego; nie uzasadnia poszczególnych reform ustroju, przeprowadzonych przez faszyzm, natomiast obraca się w dziedzinie ideologji politycznej tego ruchu — przynosi więc pewne rozczarowanie; pragnęłoby się może w tej chwili rzeczy bardziej konkretnych. Niemniej daje ona cenną sposobność zdania sobie sprawy z najistotniejszej zasługi faszyzmu w dziedzinie myśli polityczno-społecznej, oraz z pewnych punktów jego ideologji, które pozwalamy sobie uważać za słabsze, twierdząc śmiało, iż myśl narodowa polska przynosi głębsze ujęcie zbiorowej rzeczywistości ludzkiej, a przeto ma dane do lepszego rozwiązania niejednego zagadnienia. Prócz rozdziałów dogmatycznych, książka zawiera zresztą również bystre uwagi o funkcjonowaniu liberalnego parlamentaryzmu, o przyczynach, dla których angielskie instytucje, dające naogół dobre wyniki w kraju swego pochodzenia, zwyrodniały gdzieindziej.

W Anglji, stwierdza Corradini, ustrój parlamentarny był wynikiem rozwoju naturalnego i znajdował w tradycjach i warunkach miejscowych zdrowe pole działania; począwszy bowiem od średnich wieków społeczeństwo tamtejsze wydało z siebie k l a s ę k i e r o w n i c z ą, utrzymującą równowagę między władzą monarszą, a wolnością obywatelską. Nadewszystko zaś warstwa ta, mając za narzędzie swoje o b y d w a klasyczne stronnictwa (Whigów i Torysów, względnie konserwatystów i liberałów), działała stale w imię interesu państwa i nie powstała u niej nawet możliwość działania inaczej. „Połączenie wolności z praworządnością było w Anglji samorzutne, przyrodzone, rzeczywiste, fizjologiczne, biologiczne. *Imperium legitimum*, owa definicja starej konstytucji rzymskiej, jest ścisłem określeniem tysiącletniej konstytucji angielskiej“. (str. 12) Jakkolwiek i w Anglji nie wszystko się tak gładko rozwijało, jak zdawałoby się wynikać ze zdań autora, jakkolwiek już pierwsza połowa XIX w. przyniosła znaczne wstrząsy i zmiany w składzie owej klasy rządzącej, przecież w wielkich linjach autor dobrze rzecz przedstawia i uwagi jego docierają do właściwego jądra rzeczy.

Chcąc bowiem zrozumieć siły, działające w ustroju angielskim, trzeba nadewszystko pojąć stosunek właściwy obu klasycznych stronnictw. Przedział pomiędzy niemi był zawsze więcej pozorny, niż rzeczywisty, treść ich dążeń politycznych płynna i zmienna [1]), bo przedział ideowy istniał tylko drugorzędnie — przedziału moralnego i społecznego nie było. Dla obu podłoże myślenia politycznego było identyczne, pole ich starć ograniczone, jak plac gry, ograniczone niepisaną, więc tem trwalszą konstytucją i nieprzebytym murem tradycyjnych obyczajów. Nad walką polityczną i życiem społecznem panowało umiłowanie „reguły”, instynkt *par excellence* k o n s e r w a t y w n y i p r a w n y. Rekrutacja stronnictw opierała się w dużej mierze o tradycję rodzinną arystokracji [2]), a choć oświecony intelektualizm może gorszyć się tak zacofanem kryterjum politycznem, posiada ono głębsze znaczenie. Wyraża się w niem pewność, że kto pozostawał w politycznej tradycji rodzin-

---

[1]) Np. stanowisko konserwatysty Peel'a wobec ceł ochronnych na zboże, lub liberała J. Chamberlain'a wobec sprawy irlandzkiej; oba są zaprzeczeniem utartego pojęcia o ideologji tych stronnictw.

[2]) Czytelników, interesujących się Anglją, odsyłamy do pierwszego tomu Ostrogorskiego *„La Démocratie et l'organisation des Partis Politiques“*.

nej, ten nie zboczył też z drogi zasad, na których wyrosło życie i wielkość brytyjskiego państwa, ten mógł być godnym członkiem politycznego społeczeństwa bez względu na to, w którem z dwu stronnictw działał. Były one bowiem obliczami jednej i tej samej rzeczywistości społecznej i myślowej.

O stosunkach angielskich Corradini tylko napomyka, lecz sympatja, przebijająca ze słów jego, ośmiela do twierdzenia, że między arystokratyczną demokracją angielską, a demokratyczną dyktaturą włoską istnieje głębsze pokrewieństwo[3]); faszyzm jest przywróceniem podobnie jednolitej podstawy życia ideowego i polityczno-społecznego, na jakiej rozwijało się ongi życie angielskie; faszyzm jest nawrotem do rzeczywistości jako podstawy i treści form politycznych, zstąpieniem z chmur doktryny na ziemię pełnego życia narodowego, z którego ongi wyrastała pomału demokracja angielska. Te cechy faszyzmu właśnie stanowią jego zasadniczą wartość i ogromną zasługę.

W przeciwstawieniu do rozwoju politycznych stosunków w Anglji omawia autor Rewolucję Francuską i jej doktrynę, a na tem tle rozwija pojęcie „wolności" czyli stosunku jednostki do Państwa. „Rewolucja francuska—powiada — jest pierwszą rewolucją filozoficzną i doktrynalną w historji; tu leży punkt zwrotny polityki europejskiej: rzeczywistość poddana zostaje panowaniu „zasad" (*principii*), które w akcji rewolucyjnej stają się idealnemi celami". Wpływa to przedewszystkiem na pojmowanie wolności: „...przestaje więc ona być pewną określoną rzeczywistością wśród innych rzeczywistości (życia społecznego, politycznego, prawnego), a staje się „zasadą", celem idealnym, wychodzi poza czas i przestrzeń, zmierza ku absolutowi. Innemi słowy, rodzi się „wolność liberalna", nieznana macierzystej Anglji..." Z tej doktrynerskiej skłonności ku poszukiwaniu absolutu wyrasta w Europie „rewolucjonizm", kult „Rewolucji".

Kult absolutnego „Postępu" i „Rewolucji" prowadzi do uznania tego, co autor nazywa „wywrotowością z Bożej Łaski" (*il diritto divino del sovversivismo)*, która jest „neologizmem nieustającego buntu przeciwko Państwu". Wynika stąd dalej, że najbardziej antypaństwowe organizacje wywrotowe uzyskują obywatelstwo, równouprawnienie ze stronnictwami politycznemi, uznającemi podstawowe zasady istniejącego ustroju społeczno-politycznego.

„Jednem słowem—mówi Corradini—polityka przestała być rzeczywistością, rozwijającą się w warunkach rzeczywistych i dla realnych celów; nie jest już ona sztuką rządzenia ludami i państwami, zdolnością tworzenia instytucyj w tym celu; stała się ona mitologją".

Oto stan rzeczy, któremu faszyzm wypowiedział walkę, buntując się przeciw kultowi fałszywych bogów, przywracając siłę państwu. Faszyzm, partja faszystowska jest nową oligarchją, jakie bywały w historji, czy to w Rzymie, czy w Anglji np., a które umiały interes własny pojmować szeroko, jako identyczny z interesem państwa. „Nowa kultura polityczna włoska — mówi autor—znajduje się odtąd w posiadaniu prawdy co do pojęcia Państwa; nie zbudowała ona nowej teorji, lecz dostrzegła rzeczywistą naturę Państwa. Na czem się ona zasadza? Na jedności żywej między osobą ludzką a Państwem, t. j. na fakcie, że jednostki ludzkie są, jeżeli możemy użyć wyrażenia naukowego, istotami biologicznie państwowemi (*sono biologicamente statali*), ponieważ żyją jedynie jako cząstki społeczeństwa, którego organizacją jest właśnie Państwo". „Jeżeli np. postawimy na nowo zagadnienie wolności obywateli i suwerenności państwa, rozeznamy, że nie są to już dwa problemy prawne dla dwu stron wziętych oddzielnie, lecz że jest to jedno zagadnienie sił i funkcyj dwóch stron jednej całości".

Instytucje społeczne włoskie, ustanowione przez faszyzm, są urzeczywistnieniem tego postulatu; cała żywa rzeczywistość ludzka, społeczna, staje się dzięki nim treścią życia państwowego. „Jednostki i klasy, czy jednostki syndykaty, korporacje[4]) i Państwo są jednością biologiczną. Kultura faszystowska niesie w sobie to poznanie istoty Państwa; nie mówię pojęcie (*concezione*), lecz poznanie (*conoscenza*) tego, co jest rzeczywistością Państwa".

Twierdząc (str. 91), że organizm państwowy obejmuje cały proces życia jednostek, wszystkie funkcje tego procesu, wyjaśnia to następnie, mówiąc (str. 93), że człowiek posiada niewątpliwie zakres życia własny, osobisty, odpowiedzialność osobistą przed Bogiem i ludźmi, lecz te pierwiastki duszy własne, na świat z życiem przyniesione, rozwijają się jednak w ludziach, jako w obywatelach, jako w członkach społeczeństwa, a więc pod działaniem społecznego otoczenia, tradycji, instytucyj, a nie w oderwaniu od nich. „To znaczy, że jednostki w odniesieniu do społeczeństwa, do którego należą, stoją w stosunku podwójnym przyczyny i skutku, czynnika produkującego i produktu..." „W prostych słowach, jednostki nie znajdują się w społeczeństwie zwanem narodowem, jak akcjonarjusze w spółce akcyjnej, mogący do niej należeć lub nienależeć.., lecz znajdują się w niem, jak komórki w ciele ludzkiem".

Rozdział VIII-my dziełka nosi tytuł charakterystyczny: „Od prawa do funkcji" (*Dal Diritto alla Funzione*). Autor stwierdza raz jeszcze z naciskiem, że podstawową normą w życiu państwowem jest owa biologiczna współzależność jednostek ludzkich i państwa; i wolność obywateli i autorytet państwa opierać się muszą w swych formach prawnych na tej właśnie normie. Oto podstawa nowej kultury politycznej, urzeczywistnianej we Włoszech przez faszyzm. Liberalne wyobrażenie pierwotnej absolutnej wolności, jako naturalnego stanu człowieka, jest fałszywe; doprowadza ono do zupełnie absurdalnego wniosku, jakoby człowiek rodził się z prerogatywami „obywatela", zanim wogóle Państwo istnieć zaczęło (str. 111).

[3]) Zwróćmy tu uwagę, że Chesterton w swej krótkiej „Historji Anglji" z największym naciskiem głosi, iż na początku swej historji nowoczesnej Anglicy byli przedewszystkiem — Rzymianami. Wiemy co mówią faszyści o sobie.

[4]) Mowa tu oczywiście o syndykatach i korporacjach zawodowych, stworzonych we Włoszech mocą ustawy państwowej, podlegających kontroli Państwa, poddanych pod jurysdykcję państwowych sądów, a więc słusznie uważanych za organy życia państwowego.

Tymczasem w rzeczywistości „wolność jednostki jest nieodłączna od istnienia autorytetu Państwa... Wolność rozpada się z chwilą, gdy się rozpada autorytet Państwa“ (str. 115). „Państwo silne, to państwo utrzymujące społeczny ład w narodzie, ład czynny i produktywny organów i funkcyj“. Oczywiście ład ten może posiadać te dwie cechy, gdy jest porządkiem a nie niewolą. „Wolność i autorytet—zdaniem Corradiniego—stanowią dwa czynniki jednej biologicznej całości i mają się określać przez swoją funkcję a... wolność indywidualna jest autonomją funkcjonalną“ (str. 144 rozdz. X). Uwagi autora powyższe o istocie państwa i stosunku jednostki do niego zasługują na zastanowienie i uwagę; chociaż bowiem nie są nowe, przecież dotąd nigdzie nie zostały wzięte za podstawę ustroju państwowego i wychowania społecznego; faszyzm czyni tutaj pierwszą próbę, popularyzując tem samem te idee

*

Pojęcie biologicznej przynależności człowieka do państwa o tyle posiada wartość, iż wyraża panującą w tym stosunku konieczność logiczną i faktyczną. Życie ludzkie nietylko fizyczne, lecz duchowe opancerzone jest koniecznością własnej natury, której człowiek nie zmieni, bo jej sobie nie nadał. Rozum życiowy polega zatem na poznaniu samego siebie, na uznaniu celów ludzkiego życia i dobrowolnem przystosowaniu swych działań do tych celów. Ale treścią życia ludzkiego jest wolność, czyli przedewszystkiem świadome rządzenie sobą według prawa wewnętrznego, odpowiadającego duchowej naturze człowieka, następnie wolna twórczość zewnętrzna, nie na ostatniem miejscu tworzenie prawa zewnętrznego dla rządzenia stosunkami zbiorowemi. Otóż tutaj pojęcie biologicznej jedności, jednostki i Państwa nie jest dostateczne. W zakresie życia specyficznie ludzkim, jakim jest życie moralne, czy państwowe, cechą zasadniczą jest wolna wola, rządząca się prawem. Stosunek jednostki do państwa należy do zakresu spraw specyficznie ludzkich, rozwijających się na poziomie duchowym, na poziomie wolności woli. Nie znaczy to wcale, ażeby tu panowała dowolność, owszem panuje tu konieczność logiczna i duchowa, lecz realizowana przez wolę ludzką, a więc nie biologiczna. Gdy chodzi o państwo narodowe, o jakiem myśli przedewszystkiem Corradini, stosunek nie może być nazwany tylko biologicznym, bo jest także duchowym, mimo podkładu rasowego fizycznego, jaki może istnieć, ale bynajmniej nie zawsze istnieje w narodzie. Tutaj stosunek staje się w wyższym jeszcze stopniu uduchowionym, wolnym: należę do narodowego państwa, w niem pracuję, ponieważ chcę urzeczywistnić własną duchowość w wolnem działaniu twórczem, chcę urzeczywistniać szersze, zbiorowe życie narodowe, świadomie uznając je za wyższy stopień powszechnego życia. Istnieje w tem dla mnie zasadnicza, moralna konieczność, lecz niemniej istnieje wolny wybór. Taki jest istotny stosunek człowieka, w pełni świadomego swej duchowej natury, do państwa narodowego, stosunek, mogący być istotnie podstawą nowej kultury społeczno-politycznej, ani doktrynersko-liberalnej, uważającej człowieka wyłącznie za oderwaną jednostkę materjalnego interesu *(homo oeconomicus)* i abstrakcyjnych uprawnień, ani socjalistycznej, uważającej go za atom w materjalnej masie klasowej, czy państwowej, lecz kultury, wcielającej ideały duchowe chrześcijańskie i polityczne potrzeby nowoczesnych narodów, uważającej człowieka i naród za świadomie współzależną rzeczywistość duchową. Takie pojęcie odpowiada w każdym razie poczuciu polskiemu i naszej tradycji.

Stosunek człowieka do człowieka, jak i jego stosunek do społeczeństwa jest dziedziną wolnej woli, dlatego właśnie podlega odpowiedzialności. Dla prawa rzeczy materjalne są tylko materjałem do celu ludzkiego, a ono samo jest wyrazem nietylko świadomej woli prawodawcy (czy nim jest jeden człowiek czy zbiorowość to w obecnem rozumowaniu obojętne), lecz co więcej jest wyrazem moralnego stosunku ludzi między sobą; stosunek ten różne przybiera formy: równości, zależności, odpowiedzialności i t. d. Współzależność ludzka, wyrażająca się w prawach, jest jednem słowem współzależnością moralną, a nie biologiczną, ani wogóle czysto materjalną.

W popularnej wersji, gdzie nie chodzi o całkowitą ścisłość pojęć, lecz o obrazowe porównania, porównanie stosunku człowieka do państwa ze stosunkiem biologicznym komórki ciała do jego całości, może być szczęśliwe, ale w teoretycznem ujęciu, mającem dawać podstawę całej szkole myśli politycznej, najściślejsza dokładność definicyj jest konieczna, bo maleńkie nawet odchylenia mogą dać w wyniku praktycznym zupełnie fałszywe nastawienie zagadnień politycznych i społecznych.

Określenie wolności jednostki jako nieodłącznej od autorytetu państwa jest niezmiernie trafne i ścisłe; właśnie autorytet Państwa jako wykonawcy i twórcy prawa jest nieodzownym warunkiem wolności obywatelskiej, bo wolność ta właśnie z prawa pochodzi i na niem się opiera, w niem opiekę znajduje. Nie wynika stąd jednak, aby ścisłem było określenie dalsze: „Wolność indywidualna jest autonomją funkcjonalną“. W pojęciu funkcji zestawionem, jak to czyni autor, z pojęciem biologicznej przynależności, wyraża się znaczenie stosunku niewolnego; gdy tymczasem stosunkowi społecznemu odpowiada pojęcie „działania“ z wolnej woli. Można oczywiście rozumieć słowo „funkcja” jako wynik rozumnie zszeregowanych działań, zmierzających do jednego zbiorowego, swobodnie obranego celu; autor jednak nie tak pojmuje to wyrażenie. Jednakowoż nawet gdyby je tak rozumiał, nie mógłby twierdzić, jakoby wolność ludzka była tylko autonomją funkcjonalną. Jest ona bowiem związana z naturą duchową i z samem pojęciem człowieka i z tego stanowiska psychologiczno-moralnego człowiek istotnie rodzi się wolnym — w możności, — rodzi się powołanym do wolności. Natomiast *in actu*, w realizacji zewnętrznej jako wolność prawna, wolność ludzka związana jest ściśle z istnieniem społeczności politycznej; lecz i tu posiada dwa oblicza, subjektywne i objektywne, czyli prywatne i publiczne. Nie są to dwie rzeczy od siebie zupełnie oderwane, lecz są jednak dwa oblicza, których mylić nie należy. Wykonując wolność

indywidualną pod autorytetem prawa człowiek spełnia coś, co ma wartość zbiorową, lecz nie wyłącznie zbiorową; źródło pozytywnego uprawnienia leży bądź jak bądź w treści jego duchowej natury[5]).

Trochę inaczej przedstawiają się zagadnienia wolności politycznych; tu istotnie wchodzi w grę spełnienie pewnej funkcji, mającej znaczenie przedewszystkiem zbiorowe, ogólne; powołanym do niej nie może być zasadniczo każdy człowiek, lecz kto ją spełnić będzie najbardziej zdolen. W szczegóły wchodzić tutaj nie możemy, nie chcąc zbytniem przedłużaniem tych rozważań zamącić jasnego poglądu na główną treść zajmującej nas rozprawy Corradiniego.

Dla nas wynikają z niej dwie rzeczy główne: po pierwsze, jak już powiedzieliśmy, zrozumienie wiekopomnej zasługi faszystowskiego ruchu myślowego i politycznego w odbudowaniu nienaruszalnych podstaw życia zbiorowego społeczeństw i narodów, w śmiałem napiętnowaniu i bezwględnem tępieniu tych ideologij i dążeń społecznych, co niszczą sam rdzeń życia społecznego i moralnego w duszach ludzkich i w życiu państwowem; w stanowczem zerwaniu z bezbarwnością i lenistwem liberalnem, pozwalającem na bezkarne podkopy pod fundamenty społecznego istnienia i państwowej siły narodów, pod fundamenty wszelkich moralnych wartości ludzkich.

Drugim wnioskiem, wynikającym z myśli autora, tyczących stosunku jednostki do państwa, z tych mianowicie, które poddaliśmy powyżej krytyce zasadniczej, jest skonstatowanie, że stosunek jednostki do państwa, jak go określa Corradini, nie uwzględnia, lub raczej uwzględnia niekiedy zbyt mało, istotę chrześcijańskiego pojęcia o człowieku. Tymczasem pojęcie to zawiera zasadniczą prawdę, leżącą u podwalin społecznego życia; tego życia nie można zrozumieć i ocenić różnych jego walorów bez wmyślenia się głębszego w tę prawdę, przedewszystkiem bez pojęcia ludzkiej duszy od strony jej dynamiki wewnętrznej, jej dążności i potrzeby wypowiadania nazewnątrz wewnętrznych obrazów uczucia i myśli. Nie można pojmować stosunku jednostki do jakiejbądź całości społecznej, choćby tak drobnej, jak np. rodzina, tylko statycznie, w formie definicji logicznej, bo żywa prawda, polegająca na ciągłem działaniu i oddziaływaniu, nie wypowie się w całości w żadnej takiej formułce, każda formułka do pewnego stopnia ją fałszuje. Prawdą stosunku, nietyle jednostki do państwa, ile życia jednostki duchowej ludzkiej do życia państwa, jest ciągłe działanie i oddziaływanie psychiczne, ciągłe wydobywanie na jaw nowych walorów, w duszy ludzkiej ukrytych, ciągła ich realizacja zewnętrzna w formach społecznych i prawnych i wzajem oddziaływanie form zewnętrznych na rozwój sił pojedyńczej duszy. Siłą dynamiczną nieustającego procesu życia jest tu wolna wola ludzka, czyli wola człowieka, chcącego być człowiekiem, a tem samem spełnić nakaz Boży.

Myśl polska z instynktu łączy pojęcie życia moralno-religijnego z pojęciem życia narodowego; brak nam jednak przemyślenia pojedyńczych zagadnień życia społecznego i osobistego — poprzestajemy zwykle na ogólnikowych instynktach. Gotowych form praktycznych, ani nawet gotowych formuł teoretycznych na rzeczy te nie znajdziemy w żadnej szkole myśli politycznej czy społecznej. Nawet najśmielej krocząca naprzód ideologja faszystowska niezupełnie jest świadoma własnych koniecznych założeń duchowych; nawet myśl tak zw. „społeczno-chrześcijańska“, chcąca reprezentować niejako oficjalnie społeczne założenia, zaczerpnięte z głębokich myśli Ojca św. Leona XIII, nie dochodzi, śmielibyśmy twierdzić, do konkretnych, ze sobą zgodnych wniosków i wyraźnych programów, do konstrukcji prawnej, dającej jasną całość, a w praktyce plącze się nieraz w demagogicznych metodach i hasłach, opacznie tłumacząc pojęcie społecznej miłości chrześcijańskiej.

Słowem staje przed nami możność i konieczność stworzenia nowego kierunku syntezy myślowej w zakresie zagadnień ideowych i teoretycznych życia społecznego. Biorąc za niewzruszoną podstawę moralną myśl chrześcijańską z jej nauką o istocie, przeznaczeniu i wolnej woli człowieka, trzeba następnie znaleźć dobrze jasne przesłanki, ponieważ wyłącznie indywidualistyczno-moralne założenie nie wystarcza do wysnucia jasnej konstrukcji teoretycznej. Że katolikowi wolno odezwać się z takiem zapatrywaniem, na to za dowód niech posłuży cytat następujący; autor angielski, Jezuita, O. Keating, omawiając zagadnienie wojny w oświetleniu chrześcijańskiem „Rad Ewangelicznych“ powiada: „jeżeli człowiekowi pojedyńczemu wolno zrzec się swych praw, lub zaniedbać swe korzyści fizyczne i doczesne ze względu na nagrodę wieczną, to Państwo, jako Państwo musi wymagać uznania swych praw słusznych ze strony własnych członków, czy ze strony społeczeństw obcych“. „A tak ten sam czyn—nadstawienie drugiego policzka — będący aktem doskonałości u jednostki, byłby w życiu społeczeństwa zaniedbaniem obowiązku, a to z powodu różnicy, zachodzącej między ich racją istnienia“. („*Bulletin de la Ligue des Catholiques Français pour la Paix*“ nr. 12, p. 26, 1910).

Widzimy zatem, iż konieczne jest, gdy mowa o życiu zbiorowem, brać w rachubę czynniki specyficzne, nie wynikające w sposób prosty i bezpośredni z założeń moralności indywidualnej. Myśli naszej odbyć tu wypada dłuższą nieco wędrówkę i poznać właściwy charakter i znaczenie zbiorowości ludzkich różnego stopnia i typu, dynamikę wewnętrzną ich życia, ich wartości doczesne i duchowe, ich stosunek do przeznaczenia moralnego i fizycznego jednostki ludzkiej. Jest to osobna dziedzina myśli i życia, a dopiero rozeznanie się w niej umożliwia przejrzystą konstrukcję teorji społecznej i prawnej.

Myśl faszystowska i streszczająca ją książka Corradiniego posiada tą zaletę, iż żyje w niej zrozumienie, że dla przebudowy życia państwowego nie wystarczają najbardziej pomysłowe kombinacje w zakresie nowoczesnej teorji prawa konstytucyjnego, świadomość, że ustrój polityczny to tylko ostateczny wynik rzeczywistości społecznej i sposobu jej pojmowania i oceniania. Dodajmy tu, że jest to też wynik pojęcia o człowieku, o jego wewnętrznej strukturze duchowej.

ZOFJA ŻÓŁTOWSKA

[5]) Zob. pod tym względem ustępy Encykliki „*Rerum Novarum*“ Ojca św. Leona XIII.

O MICKIEWICZU I TOWIANSKIM, TUDZIEŻ O BRONZOWNIKACH I BRONZOBURCY

UWAGI NA CZASIE

DRUGI to już raz w niepodległej Polsce przychodzi do masowej ruchawki o Mickiewicza i o reprezentowane przezeń wartości kulturalne. Pierwszy raz przed laty pięciu, kiedy to po hałaśliwem w formie, a w treści bynajmniej nie stojącem na poziomie, zagajeniu, przeprowadzono spór o szacowanie „Pana Tadeusza". Spór ten dzisiaj zacichnął, najazd na arcydzieło został odparty, a skutkiem jego — chyba niezamierzonym — stało się pogłębione, ze stanowiska dzisiejszości przeprowadzone ogarnięcie walorów „budujących" epopei; choć niema co taić, że po zawiei tamtej pozostało dużo szkodliwego osadu po różnych niżach i nowiznach umysłowych polskich.

Teraz znowu jesteśmy w toku ofensywy na tym odcinku, stoimy pod huraganowym ogniem baterji Boya, szturmującego do wciąż jeszcze niezłomnych murów grodu, i usiłującego po swojemu zaprowadzić nowy ład w dorobkach duchowych wieku XIX. Uderzyć musi przytem, że nad sprawnością kolumny amunicyjnej przy jednej i drugiej akcji ofensywnej czuwa niezawodnie tenże sam opiekun: „Wiadomości Literackie". Trzeba jednakże corychlej zaznaczyć, że między temi obiema, analogicznemi poniekąd akcjami zachodzi różnica wcale istotna; wynika ona mianowicie z kalibru wytoczonych dział. O ile w wypadku pierwszym, w dyskusji o „Panu Tadeuszu", — jak to dziś dla każdego chyba jasne, — nie było należytej proporcji między kontr-ofensywą a ofensywą, waga odporu stała w przesadnym stosunku do wagi naporu, o tyle obecnie sprawa wygląda inaczej, przeciwnik sam w sobie jest groźniejszy, a rozwijany przezeń plan strategiczny może być w skutkach bez porównania donioślejszy. Miał rację prof. M. Kridl [1]), mówiąc niedawno, że wystąpienie Boya zasługuje na głębszą i silniej uzasadnioną uwagę, niż ta, której mu dotąd użyczono w słowie drukowanem. Niema rady; po takiem *memento* trzeba zrobić gruntowny rachunek sumienia, a nie zawadzi też wziąć przy sposobności trochę na spytki i dzwonnika, co nas zwołał na rekolekcje.

Wiemy wszyscy, jak się to zaczęło. Anonimowa spółka wydawnicza, przystąpiwszy do nowego ogłoszenia dzieł wielkich naszych poetów i powierzywszy ich redakcję M. Kridlowi, zaprosiła Boya do napisania przedmowy, któraby poprzedzała dzieła Mickiewicza, pierwszy cykl serji Bibljoteki Arcydzieł Literatury. Taką właśnie banderę umyślono wywiesić na przednim maszcie swego argonauckiego statku. Pisma Mickiewicza, z tą wprowadzającą w nie przedmową, rozeszły się już dzisiaj po Polsce w wysokich dziesiątkach tysięcy egzemplarzy [2]).

[1]) Ze studjów Boya-Żeleńskiego, „Przegl. Współcz." 1920 I. 141 n. Tam m. i. obszerne uwagi o przedmowie do Dzieł Mickiewicza.

[2]) Przedmowa Boya weszła potem do jego książki „Ludzie żywi", Warszawa, Mortkowicz, 1929.

Niema co przeczyć, że z punktu widzenia wydawców wybór przedmówcy był bardzo trafny. Poza samym talentem Boya, który go stawia w przednim rzędzie, ważniejsze jest tutaj to wybitne znaczenie, jakie sobie w ciągu ostatnich lat zdobył ten pisarz, jako krytyk i publicysta. Bezsprzecznie jest to dzisiaj jeden z najbardziej wpływowych u nas pisarzy; ogromnemu chórowi swych czytelników on to poddaje ton i takt, on w znacznym stopniu nastawia umysłowość szerokiej, bałamucącej się postępowo, masy inteligencji i pół-inteligencji naszej wobec bieżących zagadnień. Powtarzam, z tego faktu należy sobie zdawać sprawę wyraźnie; jest on niezaprzeczony i napewno nie był bez znaczenia przy wyborze przedmówcy. Jeżeli ponadto przypomnimy dużą cywilną odwagę, zuchwała wprost śmiałość, z jaką Boy — nieskrupulant zaiste — zwykł się przeciwstawiać opinji ustalonej, z jaką potrafi tratować — choćby dotychczasowe zasiewy — zmierzając do uznanego celu, będziemy już mieli zgrubsza te warunki, które go w danym wypadku wprost predestynowały na chorążego wyprawy.

O cóż bowiem chodziło w tej sprawie, jakaż wytyczna stać się miała osią konstrukcyjną przedmowy? Wytyczna ta da się odczytać zaraz z tytułu przedmowy: „Mickiewicz — a my". Według tego więc musiała być przedmowa czemś w rodzaju manifestu, winna była wyrazić stosunek dzisiejszego pokolenia do tego kompleksu wartości, który się wyraża zawołaniem: Mickiewicz. Rozumiemy więc odrazu, że sprawą główną będzie tu rewizja obowiązujących dotąd szacowań. Kiedy dyskutowano sprawę pomnika Mickiewicza w Krakowie, Wyspiański wystąpił ze zdaniem, że winien on wyrażać, czem był poeta dla narodu w dotychczasowem ciągu jego historycznego rozwoju. Dzisiejszy pomnik (jakim do pewnego stopnia jest każde zbiorowe wydanie Dzieł) wystarczy, jeśli zawrze ostatnie orzeczenie procesu weryfikacyjnego. Zapewne, można i tak.

Rewizjonizm jest dzisiaj artykułem modnym. Uzasadniony sytuacją psychiczną, w jakiej znaleźliśmy się, odetchnąwszy nareszcie powietrzem wolności, potrzebny rzeczywiście w życiu narodu, który się wzdraga przed martwotą zastoju, przyniósł on nam i jeszcze przyniesie odświeżenie, rozszerzenie horyzontów widzenia, zrywa chochoły, gdzie one po zimie pozostały. Ale — do licha — za dużo koło niego harmideru; kto już dziś nie handluje tym artykułem i ileż w nim już tandety! Zbyt łatwy żer znalazły sobie tutaj snobizm i blaga, żeby samo stanowisko „rewizjonistyczne" mogło dawać patent na „dzisiejszość". Nie rewizja jest sprawą istotną i nie łatwe przekąsy wobec dziedzictwa kulturalnego,—ale koncepcja, nowa, twórcza koncepcja, sama przez się uchylająca przeżyte „spleśniałe kory" pojęć.

Boy ma słabość do takiego pryncypjalnego rewizjonizmu; ryzykuje nawet wątpliwej trafności

paradoks [3]), że „ci, co „bluźnią“, (i tym sposobem wywołują odpór), to są lepsi czytelnicy, niż ci, co pielgrzymują do krypty“, ale sam w Przedmowie częściowo tylko idzie po tej linji łatwiejszej. Rewizjonizm jego jest tutaj twórczy, naogół w dobrym gatunku, tu i ówdzie zaledwie bywa podszyty tandetą. Stosunkowo niewiele tu jeszcze naprzykład wydzielono miejsca temu demonowi sensacji, jaki się rozsiądzie triumfalnie w późniejszych „mickiewiczologjach“ tego pisarza.

2. Napozór Przedmowa Boya, wzięta ogólnie, nie wygląda nawet tak bardzo na rewolucję. Kto się już obył ze swoistym stylem autora, kto może znieść w stosunku do Mickiewicza te — jak mówi Kridl — „tony specjalnie boyowskie, lekkie, frywolne, przekorne, nie liczące się z drażliwościami“ i kto uwierzy temu krytykowi, głównemu obrońcy Przedmowy, że one „w istocie rzeczy są niewinne“,— taki rzeczywiście może znaleźć w Przedmowie wiele twierdzeń interesujących, oświetleń subtelnych, trafnych i nowych. Niektóre z tych jego orzeczeń mają wszelkie dane, żeby się stać cenną, nietylko bronzową, ale nawet złotą monetą obiegową naszej historji literatury.

Taka np. uwaga o „Dziadach“: „za parę wieków zapomną ludzie o powstaniu listopadowem, nigdy o improwizacji Konrada. Na wieki wieków, póki będzie żyła polska mowa, centralnym punktem uczuć narodowych będzie to więzienie“. Albo owo miejsce, którem Boy przytwierdza sąd z „Beniowskiego“ o „Panu Tadeuszu“: „Żadne słowa lepiej nie potrafia wyrazić „proustyzmu“ tego cudownego poematu, tej wizji rozżarzonej do oślepiającej białości. „Pan Tadeusz“ jest jednem z najbardziej tajemniczych misterjów sztuki: sięga w istocie tych kręgów zachwycenia, w których „czas się cofa i odwraca lice“. Takich kapitalnych określeń możnaby przytoczych znacznie więcej. Nie mają one w sobie, jak widzimy, jeszcze nic wywrotowego.

Ale nawet i tam, gdzie Boy obala panującą dotąd opinję, w niejednem niesposób mu odmówić całkowitej słuszności. Tak naprzykład gdy uchyla nieco ponurą płachtę smutku, którą otulano rosyjski okres wygnania Mickiewicza. Rzeczywiście „Konrad Wallenrod“ zarzucił na tą epokę cień zbyt gruby; „chwila Samsona“, przeżyta przez poetę w Rosji, zasłoniła nam widok na ten fakt, że Mickiewicz naprawdę dopiero tam poczuł się w swem jestestwie poetyckiem, że tam dopiero doznał radości zwycięstwa i triumfu artystycznego, rozkoszy sławy. Z tego względu rzeczywiście ma Boy rację: „Wygnanie do Rosji jest dla Mickiewicza raczej wyzwoleniem“, „wyrwało go z zaduchu kowieńskiej belferki, z błędnego koła udręczeń miłości, dało nowy pokarm jego duszy“, artyzm jego w sprzyjającej atmosferze doprowadziło do doskonałości.

Podobnież trafnie, tylko jeszcze bardziej sugestywnie uwydatnił Boy w majątku literackim Mickiewicza te wartości estetyczne, które zapewne niedość wyraźnie wydobywano w dotychczasowej literaturze krytycznej, mianowicie jego wspaniałą *vis comica*, ujawnioną zwłaszcza w „Panu Tadeuszu“, dalej żywiołowe bogactwo jego erotyki (doskonale pokazana rewolucyjność poezji Mickiewicza, zestawionej pod tym względem ze stanem rzeczy w całej wcześniejszej literaturze!); wreszcie znowu w pysznym kontraście pokazał krytyk najdonioślejszą niewątpliwie z herkulesowych prac tego tytana poezji: podźwignięcie polskiego języka poetyckiego z miałkich mazowieckich piasków pseudo-klasycyzmu na najwyższe szczyty nowoczesnego bogactwa obrazowości i potęgi wyrazu [4]).

Niezawsze jednak nowe spojrzenia tego „człowieka z boku“ są równie trafne i równą rokują trwałość. Bywa, że i Boy pudłuje najoczywiściej. Do kategorji pudeł np. zaliczyć musimy sąd jego o filomatach. Nie znaleźli oni łaski w oczach krytyka, w„Bronzownikach“ wyzna bez ogródek, że dotychczasowe „rozdymanie działalności“ tego towarzystwa wydaje mu się „dość sztuczne”; Mickiewicza grono to raczej dławiło. Wyraźnie dał się tu Boy zasuggestjonować w pewnej mierze płytkiej i lekkomyślnej rozprawce Millera, który „żadną — zdaniem Askenazego — o tych sprawach i ludziach nieobciążony wiadomością“, oklaskiem „Wiadomości Literackich“ jedynie nagrodzony, i tutaj przeprowadzał zabójczą rewizję, „przezwyciężył” filomatów Mickiewiczem. Pogłosy tego przezwyciężenia odbiły się w Przedmowie i jeżeli się wspominało wyżej o podszewce tandety u Boya, to tutaj mamy jej przykład. Do tego jednak, żeby się takie dwie drogi rewizjonistów filomatyzmu zeszły z sobą, przyczyniła się pewna okoliczność. Do filomatów czuje Boy zastarzałą autypatję. Wywodzi się ona z pobudek tak swoistych, że nie można ich tutaj przemilczeć. „Kiedy byłem w szkole“, — wyznaje autor, — „budzili we mnie szczerą antypatję owi filareci... którzy wypisali sobie jako godło „naukę i cnotę...“ Żeby młody sam sobie stawiał za ideał naukę i cnotę, — to mi się wydało potworne. Nie ręczę, czy się bardzo myliłem“. Nie ręczy więc — jeszcze dzisiaj. Jakżeż sprzeczne mamy w Polsce pojęcia o potworności!

Tak zgóry uzbrojony Boy gnębi w Przedmowie z kretesem filomatów — „dryblasów, harcujących po łące“, prościej jeszcze mówiąc: „dudków“. Cała nadzieja w tem, że sąd powyższy, jako niebronzowy, nie będzie zapewne trwalszy od spiżu. Szymon Askenazy w „Łukasińskim“ już dzisiaj z tego właśnie powodu poświęcił nieprzyjemne słówko „niektórym „krytykom i recenzentom warszawskim“, na swój sposób zeszłowiecznych wartym, bohaterskim w wolnej Rzplitej belfrom i „odełgiwaczom“. Na otarcie łez filomatom wystarczy i tyle — narazie.

Nie jedyny to nieprzyjemny przypadek autora Przedmowy. Weźmy jego pogląd na Mickiewicza wobec powstania listopadowego. Krytyk ceni go sobie, widać, wysoko; rozprowadzać go (i wałkować) będzie raz jeszcze w „Bronzownikach“. Być może, nie dałoby się obronić dotychczasowych „mickiewiczologów“ przed zarzutem, że obchodzili temat ten lękliwie, że nie zajęli się nim dostatecznie i nie rozwiązali należycie. Być może. Okolicznością łagodzącą mogłoby być dla nich chyba tylko to, że— jak się zdaję — sam Boy nie trafił tutaj w sedno i w ten sposób przykładowo wyjaśnił trudność tematu. Nie poszedłbym o zakład, czy krytyk trafnie

[3]) Twórcze jest przecież nie „bluźnierstwo“ literackie, tylko odpór, jaki ono wywoła, ten zaś nie jest zasługą „bluźniercy“. Niedawno byliśmy świadkami, jak pewien niedorostek literacki lżył w druku Kasprowicza, podrażniony religijnym nastrojem jego poezji. I cóż, obrzydliwość tego występu spotkała się ze wzgardliwem milczeniem. Krok cały chybiła celu, nie przyniósł nawet rozgłosu i to ani pismu ani autorowi.

[4]) Tutaj stanął Boy obok W. Borowego, który tejże kwestji poświęcić w swoim czasie doskonałe uwagi w szkicu, ogłoszonym (w „Tyg. Ilustr.“) z racji nowego wydania monografji Kallenbacha.

wykłada tę rzeczywiście „najtragiczniejszą pasję ducha“ Mickiewiczowego.

Ujmuje on sprawę tak, że powstanie Mickiewicza zaskoczyło, że naród wymknął się poecie z czucia i wyprzedził go właśnie wówczas, gdy on na chwilę odrzucił pańszczyznę służby narodowej. Podłożem tragedji była według tego sprawa o autonomję artysty, tak boleśnie złamaną. „Biedny poeta!“ — czytamy w przedmowie, — „ledwie wyrwał się na swobodę, ledwie odetchnął szerokim tchem Europy, cudów natury, skarbów sztuki, już rzeczywistość przypomniała mu, że w Polsce nie wolno być tylko poetą; straszna dola narodu zadzwoniła mu łańcuchem“.

Tymczasem sprawa naprawdę toczyła się na zapełnie innej płaszczyźnie. Boy stoi na stanowisku, że powstanie listopadowe zaraz od wybuchu przedstawiało się Mickiewiczowi jako wartość bezwzględnie dodatnia i że wskutek tego stał on przed tragicznym dylematem: albo rzucić się w nie bez zastrzeżeń, albo dopuścić się czegoś w rodzaju dezercji, ulec słabości, wpaść w grzech i to „grzech przeciwko samemu sobie“. W rzeczywistości dylemat był inny. Mickiewicz w r. 1830 i 1831 nie uważał powstania za czyn dla Polski pomyślny, za pociągnięcie politycznie mądre; przeciwnie miał je za krok w danym momencie błędny i szkodliwy, szkodliwy nawet wtenczas, jeśliby, w co nie wierzył, skończył się zwycięstwem. Otóż jak streszcza jego pogląd S. Sobolewski, towarzysz i uczestnik rozmów w pierwszych miesiącach r. 1831: „*Mickiewicz ne croyait pas non seulement au succès mais même en cas de succès à sa continuité et ses bonnes suites*“. „Mickiewicz nie tylko że nie wierzył w powodzenie powstania, ale nawet na wypadek powodzenia nie wierzył w jego trwałość i dobre skutki“.

Nie o to więc chodziło, że poeta pragnął się rzekomo kąpać w czystym artyzmie, a przeszkodził mu w tem dzwoniący łańcuch doli narodu. Węzeł tragiczny tej „pasji“ rodzi się nie z uciążliwości rygoru narodowego, który rzekomo dosięgnął wtedy poetę-zbiega swym arkanem, bo z pod tego rygoru poeta nie wymykał się nawet w Rzymie. Węzły tragiczne były właściwie dwa, jak dwa były akty tej „pasji“. Rzymski zasadzał się na rozdarciu między rozumem politycznym, który mówił: nie, a poczuciem obowiązku poety narodowego, które mówiło: tak. „*Quoiqu'il fût persuadé,* — ciągnie dalej Sobolewski, — *que la chose ne povait pas reussir, et qu'elle aurait des suites funestes, il se croyait obligé, en qualité de poëte national, d'être avec le mouvement*“. „Aczkolwiek był przekonany, że sprawa nie może się udać i że pociągnie skutki żałosne, sądził, że obowiązkiem jego, jako poety narodowego, złączyć się z ruchem“. I nie trzeba szukać w poecie sympatyj rusofilskich (jak czyni Boy), żeby wyjaśnić to oporne stanowisko poety wobec powstania; jeżeli i były, nie dotykały one zupełnie stanowiska politycznego. Pamiętajmy, że przeciwny powstaniu był naówczas sam Machnicki. Nie powstanie pokonało poetę i wzięło na arkan, ale dopiero jego klęska. W jej obliczu dopiero przekreślił on swoje racje, swoją dotychczasową drogę, i z właściwą sobie krańcowością rzucił się w służbę ekspiacyjną. W ten sposób zadzierzgnął się drugi węzeł „pasji“ — drezdeński.

(d. c. n.) STANISŁAW PIGOŃ

ZE STARSZEJ EDDY

(KSIĘGA PIERWSZA: „PIEŚNI BOGÓW")

Wiem-ci, jakom przez dziewięć nocy,
Zawieszony na rozkołysanym jesionie,
Trwał,
Ranny oszczepem,
Święcony Odynowi,
Ja sam, sobie samemu ofiarowany,
Na konarach drzewa,
O którem ludzie nie wiedzą
Z jakich korzeni wyrosło.

Nikt mi nie podał napoju,
Nikt sił jadłem nie skrzepił,
Jenom poglądał w ziem
I z jękiem garnąłem w siebie
Run tajemnice.

Ażem opadł dojrzały na darń.

Wówczas to Mimir, Bolthorna syn,
Dziewięć sił mi skutecznych przekazał,
Miodem swej pieśni urocznej,
Wystałym, w me ręce przepiwszy.

Tedy w moc jąłem rość i tężeć w rozwagę,
Ogromnieć i czuć w sobie zdrowie.
Jedno me słowo wnet wtóre znachodzi,
Czyn jeden wnet wtórym się dwoi.
. . . .

Runy obaczysz, zacinane w laski,
Z leszczyn udatne kije, pełne siły;
Skaldów je książę sam barwił krwią ciemną,
Bogi potężne strugały je same,
Niektóre strugałem ja sam.
. . . .

Wiesz ty, jako się zacina?
Wiesz ty, jako się zgaduje?
Wiesz ty, jako się zabarwia?
Wiesz ty, jako się docieka?
Wiesz ty, jako się zaklina?
Wiesz ty, jak się ofiaruje?
Wiesz ty, jako się zarzyna?
Wiesz ty, jako się szafuje?...

Lwów Przełożyła MARYLA WOLSKA

NA WIDOWNI

Rzecz o metodzie w szaleństwie. — Jak to było?. — Interesy polityczne a krynica moralności międzynarodowej. — Cel i zadowolenie wszystkich narodów oprócz polskiego. — Etap, który nastąpi. — Korygowanie dziejów pod chloroformem. — Kto komu ma wierzyć?

...Idee, które stały na początku przewrotu majowego, są nadal obowiązujące.

Walery Sławek w mowie z dn. 1. IV. 1930.

BARDZO jest nużące i kłopotliwe wyjaśnianie językiem zrozumiałym dla ludzi cywilizowanych: do czego dąży sanacja i ta nasza swoista dyktatura, dlaczego wogóle wynurzają się na powierzchni życia państwowego takie postaci, jak pp. Szymański, Jan Piłsudski, Sławek, na co komu jest potrzebny p. Car, dlaczego pozostał w rządzie p. Prystor, na co komu ta zabawa obliczona na zwłokę, na co te zagadywania anegdotami, obrzędy z talerzami, dywersja parlamentarna w rodzaju napadu na posła prof. Rybarskiego? Są to rzeczy może zabawne nieraz, często drastyczne, nieraz kryminalne, ale karmić tem świata cztery lata nie sposób. W końcu najbardziej lekkomyślny obserwator zastanowi się, że jest to nie działanie przypadku na chaos, lecz manewry, że pod tem musi być coś głębszego i że w tej krotochwili istnieje pewna metoda. Dzisiaj niema już w Polsce człowieka, któryby nie podejrzewał sanacji, że ma dwa denka polityczne i nie rozumiał, że najciekawsze jest to, co ukryte. Trudno uwierzyć, żeby dyktatura tylko na to była potrzebna, aby można było bezkarnie na zakończenie sesji sejmowej uderzyć kogoś w głowę.

Utwierdzają nas w tem mniemaniu półsłówka, rzucane przez wtajemniczonych. Taki np. „Kurjer Wileński" (z 1. IV., nr. 76) pisze o nowym manewrze, jakim jest rząd obecny p. Sławka:

„Największą i decydującą rękojmią powodzenia i zamierzeń rządu jest udział w nim i kierownicza rola Marszałka Piłsudskiego. Wielkie dzieła ludzkie oceniać należy nie podług poszczególnych etapów ich realizowania, które czasami nie są zrozumiałe dla ogółu, lecz na podstawie całości, po ich zakończeniu. Marszałek Piłsudski idzie ku swoim celom powoli, zygzakami, lecz pewnie i nieustępliwie".

Widocznie wielkie dzieło, na które się zdecydowano w r. 1926, ma być dopiero dokonane, bo to, co dotąd, nie ma cech wielkości. W r. 1926 zapowiadano, że potrzeba kilku lat na te plany. Więc termin jakby się zbliżał.

Wnet po zamachu majowym w zeszycie z 23 maja 1926 r. staraliśmy się odpowiedzieć na pytanie, jaki był jego motyw. Oto jakie było pierwsze nasze wrażenie:

„Od pierwszej chwili wybuchu 12 maja — pisaliśmy w nr. 22 — nad wypadkami zawisło niepokojące pytanie, jakie są motywy zamachu, jaki jego cel. *Cui bono?* Na pytanie to Polak nie ma dotąd jasnej odpowiedzi, gdy już spokój na ulicy, niestety spokój żałobny, gdy w oczach majaczą cyfry nie do wiary: 300 zabitych, tysiąc rannych! Zabitych i rannych w walce bratobójczej! Pytanie to zaraz pierwszego dnia walk zadali samemu sprawcy zamachu dziennikarze. Słowa odpowiedzi były ogólnikowe i stawiały rzecz na gruncie pobudek idealizmu etycznego: „za wiele nieprawości"! Było to jedyne wyjaśnienie autentyczne ze źródła bezpośredniego.

Ten sam motyw moralnego oczyszczenia przez cały czas walki wysuwała prasa przewrotowi oddana. Organ mniejszości narodowych „N. Kurjer Polski" 15 maja piórem red. Grossterna określa znaczenie czynu jako „program etyczny", z czego wyciąga wniosek, że wynikiem jego będzie „sprawiedliwość" dla mniejszości narodowych. To był pierwszy wierzchołek realności, jaki się wydobył z powodzi słów romantycznej treści. Dopiero po walce, gdy doszło do realizowania politycznego wyników militarnej przewagi, coraz więcej zaczęło się ukazywać tego lądu, na którym się opierała rewolucja wojskowa.

Są to trzy kompleksy interesów: 1) punkt bezpośredniego wyjścia: wojsko samo z zupełnie niewyjaśnionym motywem interesu i celu, raczej jako fakt czynu, fakt ofiary złożonej dla bliżej nieznanych sobie celów, 2) kompleks interesów socjalno-rewolucyjnych, związanych nadziejami na przewrót i czynnie z przewrotem współdziałający (PPS.) i 3) kompleks interesów politycznych, sprzecznych z ideałem Polski mocarstwowej, ideałem, który w drodze mozolnej ewolucji począł się już realizować w oparciu politycznem o rząd większości narodowej.

Dla orjentacji można te grupy oznaczyć tytułami dzienników warszawskich, które wciągały przez propagandę opinję publiczną w akcję każdej grupy: 1) „Polska Zbrojna", 2) „Robotnik", 3) Kurjer Poranny", „Nowy Kurjer Polski", „Głos Prawdy" i parę innych subsydjowanych brukowców. Do tej trzeciej grupy, nie bez logiki wewnętrznej, weszła właściwie już i „Polska Zbrojna", nabyta niedawno jakoby przez wydawców „Kurjera Poran.". Grupa ta odznaczała się wielkiemi środkami materjalnemi, krzykliwością uliczną i bezceremonjalnem traktowaniem prawdy.

Otóż, gdy doszło do formowania nowego rządu po przewrocie, panem sytuacji stała się ta trzecia grupa, nazywająca się demokracją polską i walcząca o „wolność powszechną". Ona wyłoniła z siebie rząd. O pierwszej grupie nie umiemy i nie chcemy mówić, jaki jest jej pogląd na sposób realizowania zwycięstwa w drodze konstytucyjnej. Druga grupa w szeregu rezolucyj zastrzegła się przeciw takiemu rozwiązywaniu przewrotu i zapowiada dalsze prowadzenie dzieła w drodze rewolucji socjalnej. Jedyna styczna grupy socjalnej z trzecią polityczną jest ta, że obie warują nową erę w stosunku do mniejszości narodowych.

Teraz dopiero w związku z budową nowego rządu, prasa trzeciej grupy ujawniła główny motyw przewrotu. Jest to motyw polityki polskiej w stosunku do innych narodowości wewnątrz kraju i w stosunkach zagranicznych. „Nowy Kurjer Polski", nie schodząc zresztą z drogi nadanej mu przez b. ministra hr. Al. Skrzyńskiego, najdobitniej ten moment uwydatnił. Utrzymuje on (16 maja), że ów motyw.... moralny, o którym wyżej, zarówno sam Piłsudski, jak i rząd obecny, do którego teraz wchodzi, czerpali i czerpać będą ze źródła międzynarodowego.

„Rząd ten będzie czerpać swą siłę na wewnątrz i zapewniać potęgę Polski (Polsce?) na zewnątrz z niewyczerpanej krynicy moralności w stosunkach międzyludzkich i międzynarodowych. W imię tej moralności Marszałek Piłsudski wszedł na czele swych mężnych, bohaterskich żołnierzy do Warszawy."

Wyznanie to kończy się formułą znamienną: że „dusza demokracji polskiej" tak urządzi „Najjaśniejszą Rzeczpospolitą", aby „zabłysnęła ku

chwale i pożytkowi wszystkich swoich obywateli i ku zadowoleniu wszystkich państw i narodów świata".

Z formuły tej wynika, że celem polityki polskiej ma być to, aby w niej „zadowolone" były wszystkie państwa i narody i żeby z tego mieli pożytek osobisty obywatele polskich rozłogów środkowo europejskich.

Budowa nowego rządu z p. Augustem Zaleskim jako ministrem spraw zagranicznych, który ten program zadowolenia państw obcych i pożytku obywateli wykonywał podczas wojny wespół z p. Lednickim, ma fasadę w stylu wyżej naszkicowanym. To rozpoznanie stylu opieramy na znajomości ludzi i grup, które na rząd ten się złożyły. Miały one sposobność już przedtem zaznajomić nas ze swemi widokami na rozwój stosunków w Europie, w której jakoby pojęcia narodu i mocarstwa narodowego wkrótce zaginą. „Prawica" ze swojemi ambicjami Polski mocarstwowej, jako państwa narodowego, mogła przeszkodzić realizowaniu tamtego ideału. Należało to niebezpieczeństwo zażegnać za wszelką cenę, choćby hekatombą w walce z rodakami. Wielka gra, wielka stawka.

Niemcy, które zawsze dobrze znały nasze stosunki i naszych ludzi, jak się dowiadujemy z telegramów PAT-a, z zadowoleniem przyjęły wiadomość o przewrocie. „*Vossische Zeitung*" (15. V. 1926) zapowiada Polsce trudną sytuację finansową „pod kontrolą Ligi Narodów". „Zamach wojskowy został zwycięsko zakończny, najważniejszy jednak etap dopiero nastąpi". Przepowiada zawikłanie w stosunkach z Rosją, „Józef Piłsudski bowiem przeprowadzając swój program federacyjny, będzie się domagał terytorjów białoruskich i ukraińskich".

Nieokreślony pozytywnie moment idealizmu etycznego wymagał, niestety, uzasadnienia negatywnego przez rzucenie cienia na moralność obalonego rządu prawicowego. Cały wywód etycznego hasła wyprowadzono popularnie z tego, że tamten rząd składał się jakoby ze „złodziei". Stała się wielka krzywda moralna narodowi, który tamten rząd zaufaniem darzył, krzywda ludziom, cięższa niż robią kule. I niepotrzebna. Tylko brak odwagi cywilnej nie pozwolił wyznać odrazu istotnego motywu zamierzeń".

Tak pojmowaliśmy sens wytworzonej sytuacji i, jak się pokazuje, trafnie. Pierwsza grupa motywów użyta za pretekst i środek, została na boku; druga grupa w postaci ruchu socjalnego, spostrzegłszy błąd, również ustąpiła aż do szeregów opozycji. Pozostały motywy polityczne, nie wszystkim może w sanacji wiadome i te jedynie zdolne są wytłumaczyć solidarność tak różnych żywiołów, do sanacji należących, spojonych wtajemniczeniem. Jest to blok ludzi, zdecydowanych na skorygowanie dziejów Polski według koncepcyj, czerpanych z bezdennej „krynicy moralności w stosunkach międzyludzkich i międzynarodowych". Wiele jest źródeł w tej krynicy, oprócz jednego, mianowicie źródła wiary w naród polski i to właśnie pozbawia te koncepcje wartości programu oryginalnie polskiego.

Chciałoby się mieć czasami złudzenie co do tego, czy sanacja sama wierzy w zbawienność dla Polski operacji, którą chce wykonać. Nie daje nam tej pewności widok niecierpliwości posuwanej, gdy środki nasenne zawodzą, do grożenia łamaniem kości, na samą myśl o kontroli i współdziałaniu ze społeczeństwem. Jeżeli to zbawienne ma być, to czemu tylko siłą ma być robione? Czemuż taić prawdę? Bo — powiadają — naród nie zrozumie, to naród idjotów: co chwila składa *votum* nieufności.

Sytuacja dość osobliwa: pan Świtalski np. nie wierzy narodowi, ale naród ma wierzyć panu Świtalskiemu...

ZYGMUNT WASILEWSKI

ODCZYTY „MYŚLI NARODOWEJ"

ODCZYT PROF. TYMIENIECKIEGO

DNIA 26 z. m. odbył się w sali Stowarzyszenia Techników drugi z kolei odczyt, zorganizowany staraniem „Myśli Narodowej", a wygłoszony przez znakomitego historyka, prof. uniwersytetu poznańskiego, dr. K. Tymienieckiego pt. „U źródeł cywilizacji polskiej".

Prelegent wskazał na dwa główne czynniki, które ukształtowały kulturalną indywidualność narodu polskiego. Były niemi: pozostałości dawnej rodowo-plemiennej kultury słowiańskiej oraz oddziaływanie cywilizacji powszechnej, która poczęła się w Grecji starożytnej, zaś w epoce średniowiecza reprezentowana była przedewszystkiem przez Kościół rzymsko-katolicki.

Ród u Słowian miał organizację hierarchiczną, opartą na tradycji i wartościach osobistych. Nie było w nim miejsca na przedstawicielstwo wszystkich członków rodu, którzy nie znali równości, naczelnik rodu nie piastował swej władzy na podstawie wyboru. Ustrój rodowy oparty był na solidarności, rzec można, „pionowej" nie „poziomej". Stąd znaczna dyscyplina. Powyższe cechy warunkowały rozdrobnienie Słowian, którzy późno stwarzają państwa. Tkwi tu pewne podobieństwo do zacząków kultury klasycznej Grecji. Najsilniej przemówiły pierwiastki rodzime w twórczości państwowej związku lutyckiego, który upadł dopiero w XI wieku, nie będąc przystosowany do położenia w ówczesnym świecie zewnętrznym.

Cywilizacja powszechna, rozwinięta jeżeli idzie o tworzenie państwowości, do szczytu w Rzymie, przeniknęła do nas przez Kościół, który przejął z Rzymu zasady hierarchji i sztukę administrowania. Powstanie państwa polskiego zbiega się z chrztem Polski, a umocnienie się państwa — ze wzrostem wpływów i organizacji Kościoła, który gruntuje jedność narodową.

Zaczątki kultury słowiańskiej wykazują pokrewieństwo z pierwocinami kultury klasycznej w Grecji, przeniesionej później do Rzymu, są jedynie jakby zapóźnione. Temu, że kultura słowiańska wyrastała z tych samych podstaw, z których powstała cywilizacja Rzymska, powszechna, do dziś trwająca — zawdzięczamy, że indywidualność polska w tej cywilizacji nie zanikła, ale przeciwnie, rozwinęła się bujnie.

*

W dalszym ciągu wykładów o cywilizacji, urządzanych staraniem „Myśli Narodowej", senator Władysław Jabłonowski wygłosi odczyt pt. „O człowieku zewnętrznym naszej epoki". Będzie to charakterystyka przesilenia kulturalnego naszych czasów. Znakomity krytyk oprze swoją charakterystykę na objawach życia i twórczości w świecie cywilizowanym. Odczyt ten odbędzie się 15 kwietnia, w sali Stow. Techników (Czackiego 3). Wstęp 2 zł. (akadem. 1 zł.). Początek o godz. 8.

NAUKA I LITERATURA

JAMES JOYCE

W CIĄGU długich wieków supremacji politycznej i kulturalnej Anglji na terenie Irlandji, genjusz celtycki uległ jakby zatajeniu. Nie występował jasno i dobitnie — raczej dawał znać o sobie poprzez masę naleciałości jemu obcych, redukując się do roli *„celtic element“* (element celtycki), przyprawy podniecającej i oryginalnej dla przemożnego *„English element“*.

Pisarze pochodzenia irlandzkiego, jak powieściopisarz Oliver Goldsmith, autor „Wikarego z Wakefield“ lub dowcipny dramaturg Sheridan, autor granej i dziś z powodzeniem „Szkoły skandalu“ przystosowali się do gustów publiczności angielskiej. Protesty przeciw hegemonji kultury angielskiej podnoszą się w dobie narodzin romantyzmu nie z Irlandji, ale ze Szkocji, gdzie w osobie Roberta Burnsa koncentruje się niejako świadomość odrębności rasowej.

Dopiero „renesans celtycki“ *(the Celtic revival)* schyłku 19-ego wieku wydobył na jaw w pełni odrębność irlandzkiej psyche. Bogata jej skala widoczna jest w poezji W. B. Yeats'a. dramatach Synge'a, powieściach Fiony Macleod, komedjach Lady S. A. Gregory.

Irlandczykiem z krwi i kości jest niewątpliwie James Joyce, głośny dziś w świecie przez swoje najnowsze dzieło — „Ulysses“, utwór, który zostanie obok prób M. Prousta interesującem dokonaniem artystycznem pierwszych lat XX-ego w., ciekawym *„tour de force“* w dziedzinie powieści.

James Joyce nie odrazu wyzwolił w sobie te odrębne, czysto irlandzkie „możliwości“. Jego zbiór wierszy „Muzyka kameralna“ *(Chamber music)*, stylizowany jest świadomie na modłę liryków epoki elżbietańskiej. Niektóre z tych wierszy, gładkich, „klasycznych“ w obrazowaniu i przenośniach, proszą się wprost o dorobienie muzyki. Powstały one w czasie, gdy Joyce marzył o karjerze śpiewaka i parał się (podobnie jak J. M. Synge) muzyką.

Również pierwszy zbiór nowel Joyce'a „Dublińczycy“ *(The Dubliners)* nie wróży rewolucjonisty. Być może, że odcisnęły się na tym cyklu nowel z życia Dublinu wpływy Czechowa, tak popularnego w Anglji i cenionego przez czołowych jej pisarzy (Conrad, Galsworthy, Bennett). A jednak „Dublińczycy“ zawierają *„in nuce“* dwie cechy, które odnajdziemy w późniejszej twórczości Joyce'a: przemieszanie ostrego „realizmu“ ze szczerą poetycznością, scholastycznie wykształconego intelektu z pierwotną finezją zmysłów i poezji. Joyce jest wychowankiem szkoły jezuickiej, obyty jest z pismami Tomasza z Akwinu i śledzi z zaciekawieniem procesy załamania się wiary. Jego bunt zmysłów ma w sobie coś z brutalności i siły, objawianej przez niektórych wychowanków szkół klasztornych.

„Dublińczycy“ zapowiadają drobiazgowego obserwatora, dla którego wszystko jest ważne. Ta zdolność wystąpi w całej pełni w „Portrecie artysty w dobie młodości“ *(A portrait of the artist as a young man)*. Jest to autobiografja, których tyle zostawiły po sobie końcowe lata 19-ego i pierwsze lata 20-ego w. Ale autobiografja Joyce'a, śmiała, precyzyjna w ujęciu momentów psychicznych, nieraz wstrząsająca prawdą oddania, zajmuje w tym szeregu spowiedzi literackich własne, odrębne miejsce.

Jaka jest treść „Portretu“? Oto mamy tu młodego chłopca Stefana Dedalusa (nazwisko symboliczne — postać ta wystąpi w „Ulyssesie“), który od spokojnego dzieciństwa przechodzi przez wiry powstania, kryzys wiary, zamysły przyszłej karjery. Zostawiamy go w momencie, gdy ma wyruszyć na podbój niewiadomego życia — on, wychowany w otoczeniu poważnej myśli, dysput teologicznych, surowego pojęcia religji.

Joyce nie jest pisarzem płodnym; pracuje nad swemi rzeczami powoli, wydobywa słowa starannie, z przemysłeniem. To też komponowanie „Ulyssesa“ zabrało mu dziesięć lat pracy.

Podobnie jak dzieło Proust'a jest utwór Joyce'a powieścią o czasie. Czasie płynnym, dziwacznym czasie rzeczywistości wewnętrznej. Podczas jednak gdy Proust buduje swą zadziwiającą całość ze spokojem intelektualisty i badacza, Joyce puszcza swój film z zawrotną szybkością. Na przestrzeni 1000 prawie stron stłoczył przeżycia dwóch bohaterów w ciągu 24 godzin. Mamy tu narodziny, miłość i śmierć — mamy obraz miasta, mamy cały kosmos wypadków i myśli.

Zdania pędzą jedne po drugich, przynosząc skojarzenia myśli, odczucia, refleksje — notowane z niesłychaną wprost pamięcią. Niewiadomo, co bardziej dziwi w tej „bestjalskiej powieści“ (jak ją nazwał jeden z krytyków angielskich), czy brawurę rozkiełznanej wyobraźni, czy pamięć i wgląd analityka. Kontrasty brutalnego „realizmu“, obscoena gorsze niż Rabelais'a i Brantôme'a, obok wysokiego lotu poezji, ukazują nam rozpiętość irlandzkiej psyche. Podobne kontrasty mamy u Synge'a, który wziął je zresztą do swych sztuk — jak sam wyznaje — prosto z życia ludu Irlandji.

Po „Ulyssesie“ nie dał narazie Joyce niczego. Obecnie pojawiła się część nowego romansu „Anna Plurabella“, który wzbudzi napewno ogromną sensację („Ulysses“ został skonfiskowany przez policję angielską jako niemoralny.

Dziwaczny talent Joyce'a pomimo wszystko świadczy, że irlandzka psyche zaczyna wypowiadać się coraz bardzie swym własnym językiem. A język ten jest językiem narodu o dużej żywotności — narodu, który w nowej strukturze kulturalnej Europy odegra znowu swą rolę.

Londyn ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Dużo przyczynków do poznania myśli i programu Mussoliniego przynosi zbiór jego artykułów, drukowanych w latach 1920—1928 w miesięczniku *„Gerarchia“* który się ukazał w Medjolanie (*Edizioni „Alpes“*) pod tytułem — *„Tempi della Rivoluzione fascita“*. Znajdujemy tam rozprawy z dziedziny polityki zagranicznej, zagadnień społecznych i gospodarczych, życie wewnętrznego faszyzmu, filozofji politycznej i t. d. Autor wypowiada się otwarcie i precyzyjnie, odsłania przeto głębsze motywy swego postępowania. Kogo poważniej interesuje faszyzm, nie może pominąć tej książki.

*

Dwutomowy „żywot“ Byron'a, pióra André Maurois, wyszedł świeżo w Paryżu, nakładem księgarni B. Grasset'a. Siedemset z górą stronic druku (Tom I str. 368, Tom II str. 361) wypełnionych głównie opisem licznych przygód miłosnych twórcy „Don Juana“, związanych z niemi złudzeń oraz zawodów, zatargów i nieporozumień — z samym sobą i ze światem. I tak niemal „od kolebki do mogiły“, gdyż kilka końcowych miesięcy żywota Byron'a, które poświęcił wolności Greków, nie psują jednolitości jego dziejów, stanowią bowiem ich znikomą chwilę.

O twórczości poetyckiej Byron'a, jej rozwoju, wartości, znaczeniu oraz wpływie na literaturę angielską i powszechną, niema tu mowy. Byron, w przedstawieniu Maurois, jest niezwykłą istotą ludzką, która bez przerwy dogadza swoim zmysłom, zachciankom i fantazjom; często się nudzi, pozuje na bohatera z jakiegoś „straszliwego“ romansu, mści się na życiu — swojem i bliźnich (między innemi żony własnej) — szaleje i błąka się po świecie jak potępieniec, z fatalnem piętnem przeznaczenia na czole. Sporo w tem prawdy, jest ona jednak dość jednostronnie oświetlona.

Szerokiej publiczności, tego rodzaju biografja Byron'a, niewątpliwie się podoba. Poeta niewiele na tem zyska, gdy zaś chodzi o człowieka, to ten — odtworzony bez hypokryzji, jak powiada autor — nie wiadomo czy obudzi w czytelniku uczucia uwielbienia, prędzej ożywi ciekawość do tego, co było ułomnością jego natury. Ciekawość nie wyłącza współczucia, w tym wypadku jednak więcej, być może, na nie zasługują ci wszyscy, którzy ucierpieli z powodu frenetycznej duszy Byron'a, niż on sam. Sporne dotychczas kwestje jak np. stosunku Byron'a do żony (Anna Izabela Milbanke) oraz do siostry przyrodniej, rozstrzyga Maurois zbyt stanowczo, posiłkując się w tem korespondencją poety z Lady Melbourne, wydaną dopiero w 1922 roku.

*

W *„Les Miroirs Jumeaux“* (Flammarion edit.) pani Huguette Garnier odmalowuje pożycie małżeństwa, na pozór zgodne i pogodne. Ale na pozór jedynie, gdyż żona wie o wszystkich zdradach swego męża, cierpi z tego powodu, ale dla niezakłócenia domowej harmonji, nie daje niczego poznać po sobie. Przyjdzie jednak chwila, w której córka ich wychodzi za mąż, natrafia na również płochego męża, a wówczas ojciec widząc swe dziecko nieszczęśliwe, zdaje sobie wreszcie sprawę, jak musiała przez niego być nieszczęśliwą własna żona. Jednakowoż dwie generacje kobiet nie są do siebie w niczem podobne: starsza z rezygnacją znosiła swój los, młodsza buntuje się, nie daje za wygraną i szuka nowego, jeżeli nie szczęścia, to przynajmniej jego parodji. Psychologja uczuć kobiecych nadzwyczajnie trafna i z dużą finezją oddana. Pani Huguette Garnier zna duszę niewieścią i posiada pewny oraz subtelny zmysł obserwacyjny w odtworzeniu różnych jej stanów, których tak często mężczyzni zupełnie nie rozumieją i tem samem są nieraz przyczyną licznych dramatów.

*

Autorką *„Lettres à un Jeune Mari“* (Calmann-Lévy édit.) jest również kobieta. Znana pisarka, pani Colette Yver daje właśnie w tej książce, poprzez usta starej i doświadczonej niewiasty, cały szereg wytrawnych rad młodemu mężowi, którego zna od dziecka. Jest nim Alain, inżynier chemik, natura prawa, ale nie znająca życia, a zwłaszcza kobiet i ich potrzeb serca. Wydaje mu się, podobnie jak tylu innym mężczyznom, że jego żona, Marie-Edith będzie dzieliła jego przyjemności i jednem słowem lubiła to wszystko, co on lubi. Powoli jednakowoż widzi, że pożycie małżeńskie nie jest rzeczą tak prostą, jakby się wydawało. Marie-Edith kocha Alain'a, ale ma swoją wolę i charakter. Z przyjściem na świat pierwszego ich dziecka, obawia się on, żeby ono nie opanowało całkowicie jej uczucia matczynego. Z temi troskami zwierza się swej starej przyjaciółce, która nim zręcznie kieruje i daje mu cenne rady. Alain zresztą sam nie jest bez winy wobec swojej młodej żony. Dzięki jednak tym radom, powoli spokój powraca pod dach rodzinny; Alain pracuje i stara się na swój egoistyczny sposób, ale w każdym razie usiłuje zajmować się bardziej Marie-Edith, będąc pozatem dosyć dumnym, że ten domowy „rozejm“ sam wywalczył.

W powieści pani Colette Yver niema ani dramatycznych scen, ani też *„coups de théâtre“*. Książka ta jednakowoż jest bardzo ciekawem studjum miłości małżeńskiej, t. j. miłości narażonej na każdym kroku na niebezpieczeństwo spowszednienia. Autorka z dużem wyrafinowaniem analizuje te uczucia, wystawione na ciężką nieraz próbę, ścierania się charakterów męskich i kobiecych we wspólnem, codziennem pożyciu.

*

Bohater ostatniej powieści p. André Lamandé p. t. *„Les leviers de commande“* (*Grasset édit.*) jest typem charakterystycznym młodego człowieka, wykolejonego przez stosunki życia powojennego. Autor w sposób bardzo trafny odmalowuje psychologję Claude, który podobnie jak tylu innych, należących do jego pokolenia, przechodzi przez fazy zupełnego zniechęcenia i znużenia i nie wie poprostu, jak zorganizować swą egzystencję. Jeżeli jednakowoż starsi od niego nieco wiekiem mają przynajmniej za sobą bogate w cierpienia pokłosie lat, spędzonych w okopach, to Claude i tych emocyj nie zaznał, gdyż był za młodym na to, by być żołnierzem. Brak ogólny tych przeżyć silnych, wewnętrznych sprawia, że górę bierze w nim coraz bardziej zupełne zblazowanie. W tych warunkach stosunek jego z piękną Lucienne da im jedynie zadowolenia zmysłowe. Gdy jednak i zmysły przestaną grać, Lucienne, pod wpływem niezdrowym Claude'a, odbierze sobie życie. Zdaje on sobie sprawę, iż zawinił, będąc pośrednim sprawcą dokonanego samobójstwa. Wówczas, wiedziony jakimś mistycznym instynktem, uda się do Roc-Amadour, słynnego na całą Gaskonję miejsca pielgrzymki, gdzie wykuta w skale znajduje się kaplica św. Amadour. Majestatyczna natura, idealny spokój, powoli zaczynają działać na schorzałą duszę Claude'a. Obudzi się też ona na piękno przyrody, a później i na piękno prawdziwej miłości, którą symbolizuje pełna uroku, młoda Juzel.

*

P. Maurice Duplay w *„Sans Revolver ni Guitare“ (Calmann-Lévy édit.)* daje nam ciekawy dramat współczesnego pożycia małżeńskiego bogatego człowieka, jakim jest Piotr i młodej, bo dwudziestoletniej Yvane. Pobierają się oni, można powiedzieć, dla sportu, zastrzegając się, że nie będą niewolnikami t. zw. „wielkiej miłości“; każde też z nich zachowuje i po ślubie wolność. Yvane wyzyskuje ją jak może, wreszcie udaje się w podróż. W tymże czasie Piotr dowiaduje się, iż ma ona kochanka w osobie niejako Lénat, dla którego nawet opuszcza męża. Piotr cierpi; nieobecność jednakowoż Yvane pozwala mu pogłębić swoje dla niej uczucie: Piotr bez niej żyć nie może. Szuka jej wszędzie, wreszcie w chwili, kiedy zupełnie się nie spodziewa, Yvane powraca. Z nią spokój i szczęście? Nie, bynajmniej. Piotr bowiem, przeszedłszy już czterdziestkę, zaczyna inaczej patrzeć się na życie. To też, kiedy przekona się, że Yvane jest szczerze kochaną przez młodego posła Poulouvres, zmęczony moralnie i fizycznie nie myśli młodym zagradzać drogi, ale usunie się w cień bez posłużenia się „rewolwerem, albo też gitarą“. P. Duplay w sposób bardzo subtelny odtworzył cały szereg drastycznych scen, a z bystrością psychologa, nie pozbawioną ironji jednak, odmalował obecne teorje i ewolucję uczuć współczesnych generacji.

*

Do niezliczonych nagród literackich, jakie zostały ustanowione zwłaszcza po wojnie, należy obecnie doliczyć nową, której inicjatorką jest pani Aurore Sand oraz Stowarzyszenie *„Les Amis de George Sand“*. Nagroda ta, w kwocie 10.000 frs. zostanie przyznaną co roku, a obecnie po raz pierwszy w miesiącu czerwcu, tej powieściopisarce francuskiej, której tendencje literackie, zawarte w jej utworach, byłyby najbardziej pokrewne idealizmowi autorki *„Indiana“*.

Należy zwrócić uwagę, że jakkolwiek istnieje już *Prix Fémina*, t. j. *Jury*, złożone z płci ongiś zwanej „słabą“, to jednakowoż nagrodę tę wyżej wspomniane *Jury* nietylko może, ale najczęściej przyznaje autorom mężczyznom. Natomiast nowa Nagroda George Sand jest jedyną, wyłącznie zarezerwowaną dla autorek.

*

Ostatnia książka pisarza - myśliciela i poety hiszpańskiego Eugenie d'Ors: *„Cuando ya esté tranquile“* (Skoro już byłbym spokojny) jest jakby dekalogiem prostoty, tak bardzo w naszych czasach pożądanej. Poezja idzie tu w parze z programem życiowym. Prostota podług autora jest kwiatem najpiękniejszym, jaki musi wyhodować nasza cywilizacja. Styl książki przedewszystkiem odznacza sie właśnie prostotą, jest zwięzły, jasny i żywy. Najbardziej zawiłe, filozoficzne zagadnienia porusza Eugenie d'Ors w sposób dziwnie zrozumiały i przystępny.

*

Polską oraz życiem kulturalnem narodu polskiego zaczynają coraz bardziej interesować się obce kraje, nie znajdujące się z nami w sąsiedztwie. Do krajów tych, dla których Polska nie jest już pojęciem jakiemś mglistem, należy również i Hiszpanja. Pisma hiszpańskie nieraz umieszczają na łamach swych artykuły poświęcone naszemu życiu politycznemu lub kulturalnemu. W znacznej mierze do zaznajomienia Hiszpanji z naszemi sprawami przyczyniła się znana powszechnie w kraju i wielce ceniona powieściopisarka, publicystka i poetka Sofía Casanova. W jednym z ostatnich numerów cieszącego się wielką poczytnością pisma *„Blanco y Negro“* znajduje się doskonały artykuł jej pióra: *„Yacek Malczewski — Artista extraordinario“*, bogato zilustrowany reprodukcjami obrazów wybitnego naszego, niedawno zmarłego artysty. Autorka artykułu widzi w zmarłym artyście syna narodu niepodległego duchem w najcięższych nawet dla siebie chwilach. Polska przetrwała nieszczęścia, bo duch jej narodu zrodził genjalnych poetów, powieściopisarzy i artystów, którzy rzucają promienie światła w gęste mroki życia. Malczewski miał niezwykle bogatą wyobraźnię i doskonałą technikę. Jego wizje patrjotyczne są wstrząsające. Sztuka jego choć może nie zawsze rozumiana, nie może nie wzbudzać podziwu. Symbolizm Malczewskiego nic nie ma wspólnego z konwencjonalizmem, wywodzącym się z poganizmu czy nawet renesansu. Prace Malczewskiego, w których doskonale harmonizują się z sobą symbol, natura i mistycyzm, są jakby jakąś modlitwą, zwróconą ku pięknu nadziemskiemu.

SZTUKI PLASTYCZNE

SINE IRA

NOWA wystawa w Zachęcie, w terminowym dniu pisania tego szkicu jeszcze nie otwarta, mogę zatem skorzystać z czasu i powrócić do szczegółów poprzedniej, które w gniewnem (powiedzmy)... uogólnieniu pominąłem. Po przeczytaniu innych krytyk, których sądy w głębokie mnie pogrążyły zdumnienie, dwukrotnie poddałem własny sąd pilnej, *sine ira et studio*, „wizji lokalnej“ w salach Zachęty i doszedłem do wniosku, że nie mam potrzeby ani jednego słowa swojego cofnąć, albo złagodzić. Mogę je tylko tu i ówdzie dokładnie, przedmiotowo przygwoździć. Przedtem atoli rzućmy spojrzenie na świeżo otwartą w Salonie Garlińskiego wystawę rytowniczą i akwarelową Tadeusza Kulisiewicza.

Kulisiewicz należy do szeregu tych artystów, których sztuka przemawia z ducha warstw, dotychczas w dziedzinie kultury artystycznej milczących. Ale nie z ducha polskiego ludu wiejskiego, jeno — warstw miejskich robotniczych, z pewnem, zresztą, oparciem się o średniowieczną tradycję warstwy rzemieślniczej. Sztukę polską — głównie malarską i poetycką — w obecnym jej stanie, z punktu widzenia jej źródeł duchowych możnaby podzielić według stanów społecznych na szlachecką, ludową, rzemieślniczą i robotniczą. Ludowa jest najstarsza, trwa dotychczas niezmienna i stanowi potęgę potencjalną, z której od czasu do czasu czerpią genjusze, jak Szopen i Wyspiański, swoją moc oryginalną i wieczystą. Sztuka szlachecka rozwinęła się najbujniej i wysłowiła charakter narodu polskiego najpełniej, uzależniając od siebie nawet twórców, jak Szopen i Wyspiański, ze sztuką ludu najsilniej związanych. Sztuka rzemieślnicza, rozwinięta w średniowieczu, zatraciła następnie tradycję swoją i niemal znikła, a dopiero w ostatnich czasach odradza się, poczęści pod wpływem poszukiwań świadomych, poczęści — samorzutnie. Sztuka robotnicza, jako twór najnowszy — bez tradycji, pierwsze stawia kroki i chętnie garnie się do najbliższej sobie duchem, a znacznie starszej, sztuki rzemieślniczej. Rodowodu prac Kulisiewicza tu szukać należy — w warstwie robotniczej. Bez niej byłyby one niezrozumiałe.

Tematyczne oparcie obecnej wystawy Kulisiewicza na typach i motywach ubogiej wsi podhalańskiej rodowodu duchowego jego sztuki nie narusza. Bieda i nędza wiejska — to pierwsza pochylnia do fabryki i kopalni, a z drugiej strony — sztuka ludowa nie na nędzy wiejskiej wyrasta i nie w niej ma swoje krynice. Artysta musiał sam ze sobą przynieść ową atmosferę duchową, dla której wszędzie może znaleźć typy i motywy odpowiednie. A zaczerpnął ją w świecie robotniczym, mianowicie polskim, który jeszcze nie dźwignął się z pierwotnego swojego stanu upośledzenia fizycznego i duchowego. To dziwne upodobanie w chorowitości, niedorozwoju, spotworniałości, wynaturzeniu, bierności, znieruchomieniu, tępości, surowości — stamtąd jedynie pochodzić może. Artysta ma talent i rzetelną szkołę rytowniczą, technikę zespolił z nastrojem swych prac, nigdzie do owej atmosfery ani siebie ani artyzmu nie nagina, co raz jeszcze rodowód sztuki jego potwierdza. Smutna to sztuka—tak pokraczna, pomarszczona, ślepa i nieartykułowana, jak ludzki noworodek. Może jednak i z niej co dobrego wyrośnie, — zwłaszcza, iż nawiązuje nić tradycji średniowiecza rzemieślniczego.

Salon Garlińskiego w głębokiem poczuciu swego patrjotyzmu i misji kulturalnej, powierza wstępy do katalogów piórom żydowskim. I tym razem o sztuce Kulisiewicza pisze p. Mieczysław Wallis, który nazywa się poprostu Walfisz, ale zgubił literę „f“, a kupił sobie w ministerstwie spraw wewnętrznych literę „l“ i, wstawiwszy ją na osierocone miejsce, zrobił się na Anglika. Barbarzyńska Polska nie posiada, niestety, Polaków w dziedzinie krytyki artystycznej, więc Salon Garlińskiego cywilizuje ją przy pomocy instruktorów żydowskich — Huzarskich, Sterlingów, Winklerów, Walfiszów i t. d. Zaszczytna ta strona działalności Salonu przejdzie, niewątpliwie, do historji kultury — jeśli nie polskiej, to — warszawskiej. Ale odejdźmy stąd i wstąpmy raz jeszcze do Zachęty.

W Zachęcie — same zgliszcza: to mój *in effigie* pożar krytyczny tak ją spopielił. Ale, na szczęście, znalazła się w Warszawie krytyka o takiej potędze wskrzesicielskiej, że i umarłym rumieńce młodości przywraca. Możemy przeto palić raz jeszcze. Ale już nie tak ryczałtem... Zacznijmy od najbardziej ogniotrwałej sali Wyczółkowskiego. Nie chciałem wielkiemu artyście dopiekać, więc zbyłem jego wystawę ogólnikiem. Lecz wielbicielstwo jego natarczywie domaga się odemnie łuczywa — w stuleciu elektryczności i w chwili, gdy Marconi, siedząc w Rzymie, za pociśnięciem guzika zapala ryczałtem latarnie uliczne w Sidney, na drugiej półkuli — (także latarnik!). Więc trudna rada! Biorę łuczywo i uzbrajam się w łagodność. Oto są, naprzykład, wnętrza lasów Wyczółkowskiego. Pierwszy i drugi plan — czarno-białą techniką robione, a w głębi — kolorowe zorze słoneczne o barwach bardzo mocnych i żywych. Czy wielbicielstwo nie widzi, że zestawienie to czyni z pierwszych planów przykrą, wręcz trupią martwotę? Jest to błąd, który, poza chybieniem artyzmu, z braku ducha wynika. Albo te oto kolumny kręcone, girlandami kwiatów oplecione. Czy nie są bezcelowe, w tłach źle skomponowane, bezduszne? Albo owe niebiosa gwiaździste z kometą i ów Giewont ze szmatem nieba — jakież to puste! Gdyby coś podobnego dał artysta o niegłośnem nazwisku, Zachęta słusznie mogłaby odrzucić, jako — miły zresztą — dyletantyzm. Albo owo wnętrze Ratusza poznańskiego: świetnie w perspektywicznym rzucie ujęte, z brawurą barwnemi plamami zapełnione, majsterską techniką malowane, ale martwe, jak techniczny pokaz inżyniera. Cała obecna wystawa Wyczółkowskiego, nawet owe dęby majestatyczne, dźwiga na sobie piętno oschłości.

Przejdźmy do sali, gdzie króluje Wacław Piotrowski. Artysta ten należy duchowo do tej samej, co i Kulisiewicz, warstwy—robotniczej. Ale do żadnych tradycyj, nawet sztuki rzemieślniczej, nie sięga. Zaczyna sam od siebie. To, co ujrzał w Paryżu, już miał w sobie na długo przed Paryżem—mianowicie anarchję i surowość barw, rozbicie kształtu, krzykliwość kompozycji, przypadkowość pomysłu, ciskanie się tam i sam, a wreszcie rzecz jedynie istotną — upodobanie do typów nędzy wielkomiejskiej. Paryż go w tem wszystkiem jeszcze umocnił — ów międzynarodowy, hałaśliwy Paryż snobizmu — umocnił i, jak myślę, ostatecznie wykoleił. I oto mamy przykry widok sztuki, która wciąż zaczyna, a nie wie dokąd iść, sztuki wciąż surowej, celowo, dogmatycznie surowej, filozofją podpieranej, a pozbawionej nerwu i gustu malarskiego.

Przejdźmy dalej, kłaniając się po drodze damom, malującym z rozmachem i bez rozmachu. Oto „Mazovia“ a w niej p. S. Zawadzki, portrecista i malarz słodkich główek kobiecych, w których, zresztą, główki są tylko nieuniknionym dodatkiem do flirtu z piersiami w koronkach i z kolankami. Popatrzmy na te dłonie z ciasta opiekanego w lukrze marcepanowym. Tak rysowane, budowane, modelowane i malowane ręce odbierają malarzowi dyplom na sztukę. Ale nie lepsze są i głowy same i postacie całe i tła i koloryt i kompozycja z jednej, raz na zawsze ustalonej, recepty powtarzane, a do jednego celu — mizdzenia się — zmierzające. Portret męski należy do gatunku portretów urzędowych, których najwyższym stopniem artyzmu jest akademickość. A dalej — Ziomek z gromadą studjów o fotograficznej ścisłości i bezduszności. Ma ten artysta w dorobku swoim kilka zim natchnionych w muzycznej harmonji barwnej i w szczerem ujęciu kompozycyjnem, ale to, co na tej wystawie zgromadził, w całości jest suchym naturalizmem. Tak samo Popowski — ten poeta nieba księżycowego i młynów śpiących — zaniechał poezji malarskiej i wpadł w nudne opowiadanie o kątach krajobrazowych, którym nie udzielił ani jednej barwy uczuciowej, ani jednego kształtu twórczego.

Nie chodźmy już dalej — na wystawę „ogólną“ i na „*Pro arte*“. Tam mniej więcej to samo — powtarzanie samych siebie z okresu pierwszej burzy młodzieńczej, ale już bez burzy, bez wzruszenia, bez pierwszego spojrzenia. Wszędzie przekleństwo konieczności stałego, bezustannego malowania bez względu na stan własnych dusz, na ich sen, nieobecność, spoczynek — chwilowy lub wieczny. Wszędzie spoufalenie się ze sztuką, która ma być na każde zawołanie gotowa, a o te zawołania codzień woła konieczność chleba powszedniego. Nigdzie nikt nie zdobywa się tu na bohaterstwo milczenia, jeśli nie odejścia, na samotną, niewidzialną dla świata tragedję pożegnania ze sztuką. Djabelski młyn współczesnego życia wielkomiejskiego z cynicznym chichotem i trajkotem wciąga artystów w zawrotnie szybki koło-

wrocie popytu i podaży, w którym przedewszystkiem ginie zmiażdżona dusza ich sztuki, a potem sztuka sama, zanim wreszcie i oni sami po setnych nawrotach na miał starci, zszarpani, zszargani legną bez ducha, dawno już z ducha sztuki swej wyzuci.

Czy tak nie jest dokoła, niech powie jeszcze bodaj kollekcja akwarel p. A. Grabowskiego, który, pono, stał się dzisiaj modnym w Warszawie, cenionym artystą salonów. Biorę tego artystę na świadectwo, bo właśnie jestem pod wrażeniem świeżo przeczytanej krytyki, gdzie pod niebiosa wyniesiono go, jako mistrza akwareli i kapitalnego technika. Zbliżam się do jego prac w nabożnem skupieniu, studjuję ze wzrastającem zdumieniem, odchodzę w zgorszeniu. Nie zgorszył mnie artysta, ale nie znające granic — bezczelność, czy też nieuctwo krytyka. Bez gniewu i uprzedzenia stwierdzić musi każdy widz kulturalny i z malarstwem znajomy, że właśnie technika w pracach Grabowskiego jest mierna, zaś kolorystyka jego stoi na przeciwnym względem mistrzostwa biegunie. Kolor tu wszędzie nieśmiały, a tak roztrzęsiony, że prace te wręcz pozbawione są jakiegokolwiek kolorytu, całości, harmonji barwnej. W pomysłach, w kompozycji — przedmiotowy, pospolity naturalizm, w technice — gospodarska naiwność, pod względem rysunku — nicość. Jeżeli to jest mistrzostwo akwareli, to w jakiej odległości mamy umieścić Fałata? Szanowny krytyk po tak wysokiem C tenorowem podrze gardło na strzępy.

Oh, tak! Nie oburzają mnie, nie gorszą artyści. Znam ich dramaty, tregedję — te nawet, o których oni sami nie wiedzą. Rzadko który z nich zniża się do komedji życiowej ze sztuką swoją. Ale krytycy nasi — oto figury farsowe! Niema w nich ani krzty powagi życiowej, rzetelności, poczucia odpowiedzialności, niema poszanowania sztuki i pracy własnej. Niewiadomo poco piszą i poco istnieją.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZMARLI

WSPOMNIENIE O Ś. P. J. B. RICHTERZE

CIĘŻKĄ stratę poniosła nauka polska w lutym b. r. przez śmierć Dr. Jana Bronisława Richtera. Młody polonista, poważnych zdolności, zmarł na zapalenie płuc w Pradze, gdzie jako stypendysta rządu czeskiego prowadził od kilku miesięcy studja slawistyczne.

Ś. p. Richter związał się licznemi węzłami ze Lwowem, gdzie ukończył IV gimnazjum, gdzie też później studjował polonistykę i filozofję w seminarjach Kallenbacha i Twardowskiego. Już w r. 1913, na drugim roku studjów ogłasza w „Pamiętniku Literackim" pierwszą rozprawkę p. t. „O poetyce Euzebjusza Słowackiego słów kilka". Powołany w czasie wojny do armji austrjackiej, dostaje się do niewoli rosyjskiej, przebywa na Syberji, wstępuje do polskich formacyj wojskowych, poczem wraca do Ojczyzny w r. 1922. Kontynuuje wytrwale studja na uniwersytecie lwowskim i osiąga stopień doktorski w r. 1924 na podstawie rozprawy „Jednostka i zbiorowość w twórczości Mickiewicza", wykonanej pod kierownictwem prof. J. Kleinera. Wstąpiwszy jako bibljotekarz do najpiękniejszej instytucji kulturalnej Lwowa, do Ossolineum, prowadzi żywą, różnostronną działalność pisarską. Publikuje liczne artykuły i recenzje w „Pamiętniku Literackim", „Ruchu Liter.", „Przeglądzie Współczesnym", „Myśli Narodowej" oraz w „Słowie Polskiem", dopóki było pismem obozu narodowego.

W jesieni 1926 r. powstała myśl stworzenia we Lwowie zamkniętej grupy ludzi o zbliżonych przekonaniach ideowych, którzy na perjodycznych konferencjach dyskusyjnych omawialiby wspólnie główne problematy aktualne w cywilizacji współczesnej. Jedną z pierwszych osób, na które inicjatorzy zwrócili uwagę, był ś. p. Richter. Na współpracownika w powstającem towarzystwie nadawał się on nietylko dzięki swemu wykształceniu i zamiłowaniom intelektualnym, ale również dzięki społecznemu sposobowi myślenia, jakim się odznaczał. Ś. p. zmarły odczuwał i rozumiał rozkosz, którą sprawia żywa wymiana poglądów krytycznych, to też stał się wkrótce jednym z najczynniejszych członków świeżo zawiązanego „Klubu Miłośników Kultury Polskiej". Od końca października 1926 r. aż do wyjazdu do Pragi w październiku 1929, przez trzy lata, bierze udział niemal we wszystkich pięćdziesięciu posiedzeniach Klubu i niemal zawsze zabiera na nich głos, referując sam lub przemawiając w dyskusjach. Na zebrania przychodził czasem wyczerpany całodzienną pracą zawodową, lecz każda omawiana kwestja ożywiała go i wciągała w tok rozpraw. Miarą szerokiej skali zainteresowań ś. p. Richtera są jego uwagi wygłaszane w debatach naszych nad zagadnieniami bardzo różnemi, jak np. „Niewiara a słabość norm moralnych w życiu społecznem", „Charakter zmian w obyczajowości współczesnej", „Pierwiastki romańskie i germańskie w kulturze europejskiej", „Psychika twórcy a twórczość kulturalna", „Liberalizm a nacjonalizm", „Pierwiastki konstruktywne idei narodowej", „Formy społeczne dzisiejszego życia kulturalnego" i w. in. Miał tę zaletę, że umiał dyskutować, w obronie tezy swej bywał uparty, lecz lojalny, tylko niekiedy rozmyślnie stawał się przekorny, podniecając dyskusję z widoczną satysfakcją. Na posiedzeniach „Klubu" przedstawił następujące referaty: „O zbliżeniu nauki do życia" (druk. w „Myśli Narodowej". 1927): „Indywidualizm kolektywizm i uniwersalizm" (druk. w „Ruchu Lit." 1927, pod zmienionym tytułem „Romantyzm i uniwersalizm"); „Rola krytyki literackiej w Rosji sowieckiej" (druk. w „Ruchu Słowiańskim" 1929 i w odbitce).

W r. 1928 bierze czynny udział w założeniu we Lwowie „Ruchu słowiańskiego", obejmując sekretarjat tego ważnego i pożytecznego miesięcznika. W osobnych odbiciach wyszły cenne rozprawy ś. p. Richtera: „Pierwiastki indywidualistyczne w twórczości Mickiewicza" (Lwów 1927) oraz „Nowy pogląd na romantyzm" (Warszawa 1928). W przygotowaniu miał większe studja o Mickiewiczu, Mereżkowskim i o biografistyce. Jako bibljotekarz pracował gorliwie w lwowskiem Kole Związku Bibljotekarzy, był jednym z organizatorów I zjazdu bibljotekarzy i III Zjazdu bibljofilów we Lwowie oraz redaktorem Pamiętnika tych zjazdów. Na studjach naukowych w Pradze był czynny zarówno w seminarjach uniwersyteckich Horaka, Ljackiego i t. d., jak i w Związku Bibljotekarzy, Akad. Kole Przyjaciół Polski etc.

Zwłoki ś. p. Richtera spoczęły na obcej, lecz zaprzyjaźnionej ziemi, w stolicy czeskiej. We Lwowie odbyło się 28 marca uroczyste zebranie, poświęcone pamięci Zmarłego. Przemawiali: Kustosz Ossolineum Wł. T. Wisłocki imieniem Związku Bibljotekarzy i organizacyj słowianoznawczych; prof. J. Kleiner w imieniu Towarzystwa Lit. im. A. Mickiewicza; dr. M. Piszczkowski w imieniu Klubu Miłośników Kultury Polskiej oraz p. Wł. Pańczak imieniem Koła Polonistów Uniw. J. K. Następnie p. Tadeusz Remer przedstawił treść niedrukowanej rozprawy o metodzie biografistyki, którą Dr. Richter przysłał do Lwowa na kilka dni przed śmiercią; wkrótce opublikuje ją Zakład Nar. im. Ossolińskich. Niemal do ostatniej chwili życia ś. p. Richter pełnił chlubnie służbę nauce polskiej, której był wiernym entuzjastą i pomnożycielem.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

NOWE KSIĄŻKI

Przyjemski Feliks. O polski system wychowawczy. Kraków 1930. Tow. Szkoły Lud. Str. 95.

Smogorzewski Kaz. Propaganda korytarzowa zagranicą. Toruń 1930. Instytut Bałtycki. Str. 62.

Pawlikowski Jan Gw. Loi pour la protection de la nature en Pologne. Kraków 1929. Rada Ochrony Przyrody. Str. 11.

Kudela Józf. Czechosłowackie i polskie wojsko w Rosji. Warsz. 1929. F. Hoesick. Str. 46.

Zapiski Tow. Naukowego w Toruniu. Tom VIII, nr. 3 i 4.

Kipling Rudyard. Gawędy z pod Himalajów. Przekład J. Birkemajera. Poznań. Wydaw. Polskie R. Wagnera.

Belmont Leo. Śmierć Messaliny. Powieść. Warsz. 1930. Renaissance.

Starzewski Jan. Józef Piłsudski. Zarys psychologiczny. Warsz. 1930. F. Hoesick. Str. 395.

Ruch Literacki. Warszawa, luty.

Lichterowicz Władysław. Fundusz kultury w Łotwie. Warsz. 1929. (Odbitka z XI t. Nauki Pol.).

W wydawnictwie „Nasz zwierzyniec" nakładem Naszej Księgarni Warsz. 1929 wyszły tomiki:

1. Viewegorowa Jadwiga. Tygrys.
2. Sokołowski Jan. Wędrówki ptaków.
3. Michcińska H. Żubr.

W wydawn. „Teatr szkolny" tamże:

Gerson-Dąbrowska M. Dzień oszczędności. (Stronica 9).

Coster Geraldine. Psychoanaliza w zastosowaniu do ludzi normalnych. Przeł. M. Głoska. Warsz. 1929. Nesza Księgarnia.

Katalog rozumowany książek przyrodniczych Warsz. 1929. Nasza Księgarnia.

OFENSYWA

KAPELUSZ GESSLERA

TRZEBA sobie przypomnieć „Wilhelma Tella" Fryderyka Schillera (nie tego genjalnego Szkolnika) tylko starego. Tam jest taka scena, w której lud szwajcarski musi się kłaniać przed powieszonym na żerdzi kapeluszem *voigt*'a „Gesslera despoty". I lud kłania się. Wilhelm Tell nie kłania się.

Otóż w r. 1930, 19 marca w Polsce, podczas pochodu imieninowego w Stanisławowie prof. Nowosielski nie zdjął kapelusza przed bęcwałami i moczymordami, lecącymi w pochodzie i wyjącymi Byrkadę. Za co starosta stanisławowski (jak się wabi ten *typus*?) skazał prof. Nowosielskiego administracyjnym pariadkiem na 14 dni aresztu.

Nie upłynie rok, a starosta wyleci, jak z procy i będzie musiał dobrze pilnować swego *habitus*.

Profesorowi Nowosielskiemu zasyła niezależna inteligencja warszawska najserdeczniejsze pozdrowienia, ukłony i uściski dłoni. Niech żyje prof. Nowosielski!

PYTLASIŃSKI

NA ZABAWNY pomysł wpadł znany niemiecki, wschodnio pruski powieściopisarz - gawędziarz niejaki Skowronek, Richard Skowronek jeden z trzech braci, także literatów i polakożerców *in summo gradu*. Tematy zawsze biorą z pogranicza i z Polski. Ostatnia powieść Richarda nosi tytuł: „*Der Weisse Adler*"—Przed wybuchem wojny światowej. Skowronek chce dać powieść o przygotowaniach spiskowych polskich w dążeniu do niepodległości. Że w niemieckim języku było materjału propagandowego najwięcej, więc Skowronek miał zadanie ułatwione. Naczytał się tedy moc broszurek i wydawnictw i w r. 1928 siadł do biurka i wyrżnął powieść aż miło. Bohaterem powieści jest komisarz policji politycznej pruskiej, hakatysta, który działa wywiadowczo w Polsce. Najgłośniejszą atoli postacią jest syn policmajstra Józef Pytlasiński, przywódca organizacji bojowej P. O. W. Komisarz policji pruskiej z najwyższym entuzjazmem mówi stale o synu policmajstra Józefie Pytlasińskim. Pytlasiński ma dziwną, romantyczną przeszłość: niedoszły kleryk, potem kupiec, kelner, atleta cyrkowy, kierownik pisma socjalistycznego we Lwowie. Jest atletycznej budowy, ma olbrzymie szczęście u kobiet, doskonały organizator, człowiek potężnej woli. Od r. 1905 dąży do rewolucji zbrojnej.

Akcja powieściowa oparta jest na tem, że Pytlasiński wiąże się z niepopularną w kraju, z powodu ugodowości z zaborcami, arystokracją, zwolna staje się pionkiem i narzędziem tej arystokracji, która nim tak manewruje, że wreszcie wódz proletarjatu na swoich barkach wynosi na tron polski księcia Czartoryskiego... Car-torys-kiego... Tak w oczach Skowronka pruskiego wygląda „Biały Orzeł" polski i bohater narodowy, Józef Pytlasiński.

A HANDELSMAN SIĘ KRZĄTA

TO prawdziwy mobilizm, witalizm, *strenous life* i energja. Inni uczeni siedzą, pleśniejąc w swoich gabinetach, i badają a to średniowiecze a to wiek oświecenia, ślęczą, dłubią, studjują, piszą. A p. Handelsman wszędzie obecny, a zawsze na rynku, zawsze na mieście, w wagonie, na estradzie. Nie dawno wrócił z Paryża, gdzie był przedmiotem spontanicznych owacyj i już jedzie po owacje do Finlandji:

„HELSINGFORS, 29. 3. Dziś przybył tu prof. Handelsman, którego powitali na przystani członkowie poselstwa polskiego z min. Charwatem na czele oraz profesorowie Mikkola i Mansikka. Wieczorem prof. Handelsman wygłosił w tutejszym uniwersytecie odczyt w obecności przedstawicieli nauki i licznie zebranej publiczności. Po odczycie poseł Charwat wydał obiad na cześć gościa. W niedzielę prof. Handelsman powtórzy swój odczyt. W poniedziałek wieczorem towarzystwo polsko-fińskie wydaje przyjęcie na cześć prof. Handelsmana".

Zaledwie wrócił z Helsingforsu, już znów w Sali Książek Mazowieckich na Starem Mieście w Instytucie Badań Spraw Narodowościowych odczyt ma, oczywiście na swój temat „Narodowość (która? wybrana?) jako zasada w polityce międzynarodowej". Obierają Zarząd „Instytutu": St. Thugutt prezes, Handelsman wiceprezes. A takim wiceprezesem jest jeszcze w 13-tu Instytutach, bo się krząta, bo chodzi, bo bywa, bo się rusza, bo zabiega w myśl piosenki Krukowskiego: „rób coś, mów coś"...

Kiedy, powiedzcie mi, ten uczony ma czas na swoje studja naukowe. Chyba nie sypia wcale...

PSYCHOPATOLOGJA

NA „Agencji Wschodniej" telegraficznej nie powinno ciążyć nadal żadne podejrzenie. Jak się okazuje z przewodu śledczego p. Szczepanik żadnym pismom nie oferował jakichś tajnych informacyj, zbieranych przez tego „dziennikarza" Seinfelda (polecanego tu zresztą specjalnymi listami Ekscelencji Jaworskiego). Korzystał z tego tylko zdaje się ten pan Rubel, naczelny polityk Kurjerka Ilustrowanego, szczujący stale Kraków na Warszawę i Warszawistów a *tuba sonans* na Galicję ministrów „sanacyjnych". Agencja Wschodnia jest tedy w porządku. Mniej w porządku jest agencja „Iskra" rozdmuchująca na Polskę rozmaite blagi i *bluffy*, kierowana przez p.p. Miedzińskiego i Stieglitza czyli Wyżeł - Ścieżyńskiego.

Dużo Stieglitzów stosunkowo znalazło się teraz w PACIE. I tak kierownikiem wydziału ekonomicznego jest p. „redaktor" Nussbaum, wydziału zagranicznego p. Librach, kultury i sztuki p. Szwejcer, przy Lidze Narodów p. Oryng, z Londynu odwołany został p. Litaner.

Z tych racyj telegramy P a t a i I s k r y trzeba czytać przez lupę i *cum grano salis*.

Nawiasem mówiąc: czy to prawda że nowe umeblowanie jednego tylko gabinetu pracy dyrektora Pata, majora Starzyńskiego (II oddział) kosztowało ni mniej, ni więcej tylko 16.000 złotych. To byłoby jednak rozrzutnictwo i to patologiczne.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W „Słowie" wileńskiem red. Mackiewicz, poseł z B. B. pisze (nr. 75):

„W nominacji pułkownika Sławka jest jedna okoliczność wybitnie podnosząca na duchu. Oto jeszcze w roku 1926 i w roku 1927 słyszałem, że w i o s n ą 1930 r. ma przyjść gabinet pułkownika Sławka. Tułała się w mej pamięci ta zapowiedź i to się chowała przed faktami, które mi linję naszej polityki zaciemniały, to znów w chwilach otuchy, występowała naprzód. Dziś konstatuję, że cztery lata temu słyszana zapowiedź realizuje się najdokładniej, pomimo chaosu faktów tak przedziwnych. S t o i m y więc w o b e c k u n s z t o w n e g o, n a l a t a o b l i c z o n e g o p l a n u".

Notujemy to wynurzenie na marginesie, „Na widowni" (ob. wyżej). Świadectwo wygląda wiarogodnie, mamy bowiem do czynienia z symbolistami, dla których kabalistyka cyfr ma nawet realne znaczenie. Wszystko tutaj może być dorabiane do setnej rocznicy 1830 r.

*

O głupocie i nikczemności działaczy w BB, świadczy napad ich posła Dobrzańskiego na prezesa prof. Rybarskiego, dokonany w oczach wszystkich. Zdawałoby się, że postępek D. miał coś znaczyć, tymczasem prasa BB utrzymuje, że nic nie znaczył. Więc jakże chodziło tylko o zadanie bólu przez uderzenie w głowę? A Mackiewicz redaktor „Słowa" poniża się do kłamstwa takiego:

„Gazety obozu narodowego robią z b ó j k i pomiędzy połami Dobrzańskim i Rybarskim incydent polityczny. Rzecz się tak miała. Przy wychodzeniu posłów, poseł Dobrzański z BB, mijając posła Rybarskiego, potrącił go, c z y t e ż b y ł p r z e z n i e g o p o t r ą c o n y".

Jakiej bójki? A głupkowate gadanie o potrąceniu przypomina plotkarzy potwarców znanych z anegdoty:

— Ależ było odwrotnie. Pan X. nie ukradł, ale był okradziony.

— Być może. W każdym razie było coś takiego.

*

W lwowskiej „Gazecie Porannej" uderzono na alarm: „Dzieje się rzecz naprawdę dla stosunków lwowskich znamienna. Zjeżdża do Lwowa Cezary Jellenta, znany literat i znakomity prelegent, człowiek wysokiej kultury i w s z e c h - ś w i a t o w e j w i e d z y, obdarzony świetną swadą i zapowiada pierwszy we Lwowie odczyt o jednym z najwybitniejszych pisarzy doby współczesnej Konradzie Korzeniowskim. Jest przekonany, że Lwów, który przed wojną tłumnie zjawiał się na jego odczytach, i tym razem nie zawiedzie. I nazwisko bowiem prelegenta i temat zapowiadały wieczór interesujący Tymczasem sala Kasyna i Koła Lit.-Art. świeciła — dosłownie — pustkami"!!

Dwa wykrzykniki, bo jakże? Cezary Jellenta chciał zwrócić uwagę inteligentnej publiczności, że Conrad to t a k ż e Józef, tymczasem inteligencja nie przyszła. Nie warto być inteligentnym! On sam, nie chwaląc się, jest i Cezar i Napoleon i do tego Hirszband, mówi obecnie o Józefach jedynie, jest zawsze modny... Tak, panie Jellenta, ale na te czasy pacyfistyczne ma pan imiona zbyt militarne. Ludzie się pana boją.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM